



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicę: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłata:** przyjmują Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Od Redakcyi. — Myślę—więc jestem. — Zmarnowane strzały. — Rozszczepianie pracy. — Ruch roślin. — Z Galicyi. — Z Niemiec. — Liberum Veto. — Piśmiennictwo polskie. — Naukowe wyniki postu Tannera. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Na pogrzebie. — Ogłoszenia.

### OD REDAKCYI.

U progu tego nowozałożonego ogniska polskiej myśli witamy naszych szanownych czytelników, którzy zgromadzili się około nas w imię *Prawdy*, w imię niepodległej wiedzy, swobody przekonań, oświaty, dobrobytu ogólnie - ludzkich i narodowych praw, w imię powszechnej i naszej własnej cywilizacji. Dziś nie możemy powołać się na nic, prócz na szczerą chęć służenia ogółowi rozumnie i uczciwie. I dla tego, pozostawiając przyszłym czynom prawo świadczona o spełnieniu i wartości naszych zamiarów, obecnie uwiadomiamy tylko, że *abonenci Prawdy*, zgodnie z zapowiedzią prospektu, przy końcu bieżącego kwartału otrzymają jako bezpłatny dodatek pierwszą część dzieła Pypina:

#### Sprawa polska w literaturze rosyjskiej.

następnie zaś damy w takichże odstępach słynne, czterotomowe dzieło G. Brandesa:

#### Główne prądy literatury europejskiej XIX w.

Ponieważ zakupiona przez nas po cenie kosztu dla abonentów *Prawdy* liczba egzemplarzy *Historii Filozofii* Langego została już rozebrana, zatem nowoprzybywającym od dziś prenumeratom nie możemy dzieła tego dostarczyć po rs. 4 k. 50. Wyjednaliśmy wszakże od wydawcy nową obniżkę, mianowicie z rs. 7 na rs. 5 i po tej cenie abonenci *Prawdy* mogą wspomnianą książkę z przesyłką nabyć. Szczegóły w ogłoszeniu.

### MYŚLĘ — WIĘC JESTEM.

Historycznie i praktycznie ma słuszność tylko żyjący  
T. Mommsen.

Gdy wielki racjonalista francuski, rozdarłszy wątpieniem całą budowę wiedzy, szukał jak Archimedes jednego niewzruszonego punktu, na którymby mógł oprzeć filozoficzną dźwignię poznania i wiarę w własny byt, nie znalazł nic pewniejszego nad dowód swej myśli. *Myślę, więc jestem* — wniosek ten był jedynym jasnym promieniem, rozświecającym mu bezgraniczną noc wątpień. Myśląc, że jestem — mówił on — stwierdzam tem myśleniem, że jestem rzeczywiście. Nietylko badawcze jednostki, ale i całe narody, zastanawiające się nad sobą głębiej, dochodzą nieraz do zupełnego zwątpienia o własnym bycie i szukają jakiegoś pewnego faktu, któryby je przekonał o ich rzeczywistym istnieniu i na którymby one mogły oprzeć swoją filozofię praktyczną — swoją politykę. Czy wtedy i dla nich jedynym dowodem jest myślenie a jedyną pociechą wyprowadzony zeń wniosek: *myślę, więc jestem?*

Wystawmy sobie, że na miejscu obecnych Czech rozpościera się tysiąc razy liczniejsze, wielkie mocarstwo irokezów, które posiada potężną armię, ale które nie ma żadnej bogatej i dojrzałej literatury, nauki, sztuki, przemysłu, wyższych urządzeń społecznych, słowem znajduje się na stopniu rozwoju plemienia amerykańskiego tej nazwy; czy mocarstwo takie mogłoby powiedzieć sobie, że istnieje? Zapewnie, dopóki by jego pułki zdołały odeprzeć wszelkie napady i utrzymać niepodległość barbarzyńskiej masy. Gdyby wszakże sąsiedzi zgromadzili jeszcze liczniejsze wojsko i zwyciężyli ową gromadę, przestałaby ona odrazu istnieć, bo nie posiadałaby innych środków do utrzymania swego odrębnego bytu. Co obroniło Francję po klęskach

Sedanu i Metzu? Czy rozbita armia, która nie mogła nawet drgnąć silniej dla odparcia nieprzyjaciela? Niemcy opanowali cały kraj; dla czegoż w nim nie pozostali i zadowolnili się dwiema prowincjami? Co ich do tego zmusiło? Tylko potęgą duchową zwyciężonego narodu, który straciwszy nawet co do jednego żołnierza, nie traci praw bytu. Cała Europa ozięźnie i moralnie oparłaby się wcieleniu Francji do Niemiec a jednakże ta sama Europa nie czuła żadnej zgrozy, przypatrując się społecznie równym terytoryalnym zaborom Anglii w Azji i Afryce i wcale nie uważa za dziwne, że 23 miliony anglików panują nad 190 milionami indusów. Nie przesadzimy twierdząc, że przyłączenie Belgii do Niemiec uznano by za większy gwałt, niż przyłączenie czterysta razy od niej większych Chin do Japonii. Gdyby tak było, jak głoszą mściciele idealnych krzywd ludzkości i pogromcy mniemanej zasady naszego wieku — „sily przed prawem,” Szwajcarya, Belgia, Niderlandy nie ostałyby się ani jednej doby wobec swych sąsiadów. Dopóki zasistnieje w Europie niepodległe księstwo Monaco, którego całe terytoryum mieści się na małej kartce fotograficznej, dopóty wierzyć musimy, że armia nie rozstrzyga o bycie narodu.

Nie rozstrzyga również i jego stanowisko państwowe. Jak wiadomo, mapa polityczna nie jest mapą etnologiczną. Na pierwszej z nich widzimy takie narody, które istnieją tylko nominalnie, a nie spotykamy takich, które istnieją faktycznie. Mapa np. polityczna zakreśla odrębne miejsce narodowi austriackiemu, którego genealogia ludów wcale nie zna, podczas gdy w obrębie owej Austrii nie wykazuje polskiego lub rusińskiego, których bytu nikt nie zaprzeczy. Niezależność państwowa jest — że tak powiemy — tytułem, urzędem, który można postradać bez postradania właściwych cech swojej istoty. Król, pozbawiony tronu, przestaje być tylko kró-



tem, nie zas człowiekiem; podobnie i naród, pozbawiony niepodległości politycznej, przestaje być tylko państwem, ale nie narodem.

Zaledwie potrzebujemy dodawać, że posiadanie takiej niepodległości nie ubezpiecza społeczeństwa nigdy w jego stosunkach zewnętrznych. Na ginące państwa patrzył każdy z nas, na ginące narody zaledwie kilka razy patrzyła historia. Mapa polityczna zmienia się w ciągu lat, mapa etnologiczna w ciągu wieków; pierwszą bojącem kreśli oręż, drugą środki cywilizacji. W wojnach politycznych strona zwycięzka, która odważy się i zdoła jednym zamachem porwać cały ustrój państwa zwyciężonej, nie odważy się lub nie zdoła wytyczyć jej narodowości. Bardzo łatwo możemy sobie wyobrazić wypadek, w którym Francja zawojowałaby Hiszpanię, wprowadziłaby do niej swój rząd i swoją administrację; nie trudno przypuścić, ażeby zarazem zginął natychmiast język hiszpanów, ich literatura, przemysł i sztuki.

Czy dzieje rodu ludzkiego pojmiemy z Hobbesem jako „walkę wszystkich ze wszystkimi,” czy z Darwinem jako „walkę o byt,” zawsze dojdziemy do tego przekonania, że one są walką. W walce tej, w której wśród niższych istot stworzenia lub na niższych stopniach człowieczego rozwoju występują tylko siły fizyczne, na wyższym, na jakim znajduje się cywilizacja europejska, przyjmują udział najczęściej zwyciężając czynniki duchowe. Wygrywa zjada owcę, bo ją zadusić może; szaman zabija holendra, gdy go na ziemię powala; ale francuzi nie ujarzmią szwajcarów, chociażby ich pokonać mogli. Najbardziej złośliwa to ze zniewag, jakimi wieki przeszłe zelżono, że on przyznaje prawo tylko brutalnej sile. Bezspornie, splamił on się teraz tą winą, jest ona wszakże wyrzutem jego sumienia, nie zaś sumieniem. Mimo wszystkich nadużyć, które popełniamy bądź jako jednostki, bądź jako społeczeństwa, uczucia nasze, zasady i czyny szanu-

ją ciągle majestat ducha. Gdzie go nie znajdujemy, nie poczuwamy się do żadnych obowiązków. Gdyby ten kamień, który wbijamy w bruk ulicy, gdyby to drzewo, które ścinamy na ogień, gdyby to bydło, które żarzymy na pokarm, nie pytając o ich wolę, gdyby te istoty przemówiły do nas ludzkim językiem i objawiły podobną nam świadomość swego bytu i losu, z pewnością wstrzymalibyśmy nad nimi młot, siekiere lub nóż. Bo dla czegoż jeleni pada ugodzony naszą kulą? Jakże mamy na to prawo? Tylko prawo wyższości duchowej. Taż sama nieublagana konieczność, chociaż pozornie łamana i gięta, rządzi również w stosunkach międzynarodowych. W małą kotlinę starożytnej Grecji wlał się i zatopił ją ocean wschodniego i północnego barbarzyństwa, a jednak ona, jak latarnia wzniesiona po nad tym morzem, przez długi szereg wieków przyświecała Europie, a nawet przyświeca dotąd.

Nie przeczymy, że człowiek z rewolwerem w kieszeni jest bezpieczniejszy od napasta niż z rozumem w głowie; nie znaczy to jednak, ażeby pozbawiony rewolweru czuł się pozbawionym życia. Tak, roślina potrzebuje pewnego powietrza, pewnego ciepła i wilgoci; ale to powietrze, to ciepło i wilgoć nie stanowią jej istoty. Jeśli tylko nie będzie wyrwana z korzeniem i przesadzona na grunt inny, może w zmienionych warunkach atmosfery rosnąć i kwitnąć.

Doszliśmy do wniosku. Nie na zewnętrznych środkach samodzielności politycznej spoczywa istnienie ludów; naród zatem, który politycznie samodzielnym być przestał, który skutkiem tego zwątpił o swoim istnieniu, jeśli tylko rozwinął swoje siły duchowe i uzdolnienia do najwyższej ich miary, jeśli jego dorobek duchowy przedstawia poważne zasoby cywilizacyjne, może w każdej chwili powiedzieć o sobie z otuchą i dumą: *myślę—więc jestem.*

Czy mówi to o sobie społeczeństwo nasze i czy powiedzieć może? Gdybyśmy za

ostateczny wyraz powszechnego przekonania uznali to, co najkrzykliwiej się odzywało, musielibyśmy na pierwszą połowę tego pytania odrzec przecząco. Zwykle, przesuwając punkt kartezyjuszowskiej opory w inne sfery dowodów, twierdziliśmy lub twierdzimy: byłem, więc jestem; modłem się, więc jestem; Bóg mnie wybrał, więc jestem. Wnioski to albo wątpliwe, albo błędne. Przeszłość świadczy tylko za sobą, nie za teraźniejszością. To, że byłem, nie przekonuje, że jestem. Powtórę pewną formą wyznania nie stwierdza również bytu społeczeństwa. Żadna bowiem religia nie ogarnia wszystkich jego członków, nie stanowi wyłącznej jego własności a jako czynnik podlegający słabemu rozwojowi, nie posuwa cywilizacji, nadewszystko zaś nie jest prawem narodu do samoistnego życia. Możliwe bez dłuższego zastanowienia pominąć urojony przez marzycieli nasz przywilej do łaski boskiej, gdyby wiara w niego nie zasłaniała nam prawdy, i nie wiodła do złudzeń i nadmiernej pychy. Osłepieni blaskiem mniemanego posłannictwa, nie widzieliśmy rzeczywistości; zapatrzeni w niebo, straciliśmy z oczu ziemię. „I kiedy inne narody—powiada otrzeźwiający nas z tych złudzeń Kalinka—w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze i słabsze niż nimi były w istocie, my jedni tylko „wspinając się na paluszkach wzdętej pychy”, własną, od nikogo nieprzyznaną pojąć się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde, choćby najłżejsze napomnienie straszne odrzucaliśmy słowem: brzydki ptak, co własne gniazdo kala! Jakby prawda kłaść mogła, jakby upojenie było siłą, jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiadał!”

A przeczytajmy słowa, obcą kreślone ręką! Znany historyk Wuttke, usprawie-

## Z KRONIKI MŁODOŚCI.

### I

## NA POGRZEBIE.

— Tu panie chojary były w tym lesie, ha!—prawił dalej Marcinek—Ale naprzód był pan, teraz zydzi z Kałusyna tną sianą, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, i tak uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął miutnie:

— Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnymi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły a my wtuliliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po policzku krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotówki, które za nową będą musieli zapłacić... „poćciwi panowie.”

— Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi”—mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął syknąć w tej wrzeshniowej kąpieli;

najmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryce, my zaś dopełnimy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujemy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż pod oczy bryznęło, i wybierając co najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniliśmy jak wojsko faraonowe w tem morzu—zawołał wreszcie mój kolega—i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi Józiu—odrzekłem rozmieszony—przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słuszność, szkoda, żeśmy nie odpręgli naszych rumaków i nie puscili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

— Czy ty myślisz—rzekł Józef—że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop zanim coś poradzi, na podrapanie się w głowę potrzebuje z pół godziny.

— To zanocujemy.

wolał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

— Opatrz swoją braciszkę i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

— Ależ nocować w dzinrawej stodole lub zatechłej chałupie razem z prosiętami!

— Sprobujemy tych wygod spania przez sześć godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

— Lubie demokrację—mruknął Józef—o ile ją mój nos znosi.

— I jabył ją nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokreć.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołyszany w dostatku pieszczołch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą nocy w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrześć na *Sans souci*, a którą jego dziad przezwiał po prostu Przytykiem. Do mizernego dworku, na któr go starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gesta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościncem, przy którym stanęły



dliwając panowanie Niemców nad Polakami, pisze. „Liczyć głowy, każdą za jedność, żadną wyżej, i wyrokować na podstawie summy, znaczy ludzi uważać za zwierzęta. Zwierzętami oni wszakże nie są. Miarę stanowią siły duchowe, które tworzą takie różnice, że ludzi można tylko ważyć. Gdzie oświata i praca, gdzie rozum i potęga—tam prawo do panowania.“ Podobnie brzmi inny wyrok—Brüggena: „Polacy odłączywszy się od narodów wyższej cywilizacji, stracili swoje wśród nich stanowisko, i dla tego pretensje ich pozostaną dopóty nieusprawiedliwione, dopóki ten cywilizacyjny stosunek istnieć będzie.“ Sady podobne bywają często zniewagą lub jedwabistym kokonem politycznych robaków; potracają one przecież o tę strunę, która w cywilizacyjnym koncercie brzmi najsilniej a z której niedawno Mommsen wydobył tę groźną nutę konieczności: „historycznie i praktycznie ma słuszość tylko żyjący.“ Jakikolwiek proces wytoczymy, zawsze musimy stanąć ze swymi prawami przed trybunałem cywilizacji. I dla tego—o ile nam wolno wyrażać osobiste przekonanie—gdyby jakaś wszechmocna istota dała nam do wyboru: 500,000 żołnierzy, czy tyleż znakomitych ludzi, wybralibyśmy ostatnich. Nie w zewnętrznych bowiem dekoracjach, nie w znikomych środkach potęgi, ale w tem wszystkim, co ogólnie nazywamy *myślą* narodu, spoczywają prawa jego bytu. Myśl ta, mimo trudnych warunków, mimo duszących ją robót klerykalizmu, pracuje, żyje i objawia się u nas w najrozmaitszych postaciach. Kraszewski powiedział w jednym z dzieł swoich, że „jesteśmy trupem, któremu w trumnie paznokcie i włosy rosną“. Bynajmniej; jesteśmy ciałem żywym, któremu nie tylko rosną włosy i paznokcie, ale także rozwija się mózg, nerwy i wszystkie organa. To też społeczeństwo nasze, nie szukając innych niepewnych dowodów swego bytu i patrząc na ten

swój rozwój może powiedzieć: *myślę—więc jestem.*

## ZMARNOWANE STRZAŁY.

I znowu pojawiły się w prasie naszej niemal jednobrzmiące protesty przeciwko kilku dziennikom rosyjskim znanego cechu, protesty tak uroczyste, że aż wydrukowane niezwyklej miary czcionkami. Po przeczytaniu ich, mimowoli zadajemy sobie pytanie: do kogo one przemawiają? Do władz, trzymających losy nasze w swoim ręku? Do potężnych nieprzyjaciół, których każdy pocisk zrywa jeden dach nad naszymi głowami? Nie, do... *Moskowskich Wiedomości, Petersb. Wiedomości i Now. Wremien.* Tylko? Tak, na ten raz—tylko. Jeśli tak, to skorzystajmy z dyspensy na tę rozprawę i pomówmy o jej przedmiocie szczerze.

Dwudziestoletni nasz stosunek do prasy rosyjskiej, który ja tylko w pewnych sprawach przy głosie utrzymywał, otoczył w naszych oczach najkrzykliwszym i najryzykowniejszym jej rzeczników pewną grozą, podniósł ich znaczenie do wysokości regulatorów życia państwowego. Mileząc tak długo z pochyloną głową, nie umiemy, podniosszy ją, zmierzyć dokładnie postaci tych, którzy by nas jeszcze niżej przygiąć chcieli. Gdybyśmy dawniej mogli byli, jak prasa petersburska, spojrzeć prosto i cisnąć wzgardę w oczy oszczercom, widzielibyśmy dziś w nich to, co ona widzi: rosyjskich Cassagnaców, mącących wodę polityczną dla złowienia w niej ryb sobie, ludzi płytkich a zajadłych, obracających przy ogniu społecznych rozterek własne pieczenie, sztucznie roznamietnionych derwiszów, wstrząsających ciemne tłumy pianą ust swoich, przede wszystkim zaś dobrowolnych denuncyantów, przebranych

za zbawicieli ojezyny. Tymczasem my uważaliśmy ich i uważamy za złych półbogów, za prywatnych ministrów, których każdy artykułina staje się okólnikiem urzędowym, każde słowo hasłem nowego zwrotu państwowego. Zapomnieliśmy i dotąd nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że owi wrodzy nam redaktorowie pism są tylko redaktorami pism, przemysłowcami, którzy stawiają młyny na wartkach prądach politycznego skandalu a rozprzedają swą brudną mękę ciemnym „miśnikom“ i wężącym świeży łup szchedrynowskim „taszkientcom“. Ztąd nasze złudzenie, ztąd kilkakrotne uroczyste protesty, z których adresanci może w kulaki się śmieją. Bo, i jakaż wywiązuje się walka? Pan Katkow, któremu już pogasły wszystkie rozdmuchiwane przezeń ogniska wojny, który po oddaniu Dulcigna już przestał wybierać się do Konstantynopola a ruchów irlandzkich z niebezpieczeństwem Rosji jeszcze nie związał, siedząc w swym gabinecie i gryząc pióro, duma nad brakiem sposobności do efektownego alarmu, do zagegania na Kapitolu. Na około cisza, z nad Wisły nie dochodzi najbliższy szmer—Brennusa z nikąd nie widać, więc gęsi milczeć muszą. Ale p. Katkow ma konika, na którym zawsze po szpaltach *Moskiews. Wiedomości* pohasać może, ma *poliskij wopros*. Dosiada go więc i dalej! Za nim pośpiesza na ten spacer p. Suworin i inni przyjaciele, którzy wiodą między sobą taką może tajemną rozmowę: „Tę naszą *progulkę* zgromi 100 polskich pism, słyszycie sto! Co za reklama przed nowym rokiem. W Ameryce gazety wyszywają swoje anonse na plecach drabom, którzy lecą przez ulice i krzyczą, atłum biegnie za nimi czyta. *Poliskij wopros* lepsza sztuka.“ I co my na to? My... ogłaszamy zbiorowe, uroczyste, jednobrzmiące protesty. Czy warto tak się zbroić? Czy słowa ich są błyskawicami, po których spadają na nas druzgoczące pioruny nowych rozporządzeń? Bynajmniej. Słyszemy tyl-

kolwiek przeczuwałem, że dziedzic *Sanssouci* nie ma w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościnnej koldry, dla rozczarowania wszakże mojego arystokratycznego kolegi, spytałem przechodzącego parobka:

— Pan w domu?

— Ale, gdzieby! odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na polu.

— Wyjechał?

— Jeździ—pono teraz ogląda gdzieś bażianty.

— Macie bażantarnię?

— Bogać tam!

— A bryczkę?

— Juści była, ale jak raz zawadził, tak posłał!

— Przenocować we dworze nie można?

— Pokojów jest dosyć, ale żeby tak posłania, nie widziałem. Siedzi tam już dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłożyć i tak się przespać.

Dobrze mu—pomyslałem—bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał pozwolić, ażeby tę wioskę przezwano *Sanssouci*.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki?—zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy—jakiś płacz słychać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kulakami.

Wąskie opłotki chrustowe łączyły z gościńcem zapadniętą i nadwyręzoną chatę, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod skółtunionych włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyzna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pręga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

— Co to wam? spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchylilem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Nie wielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka zczerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym

kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Odskoczyłem strwożony—było to leżące i do łóżka przywiązane ciele. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczulem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się więc ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot co chwila. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałaby to być grób dla umarłej kobiety?

— Co wy robicie? zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzał na mnie surowo i odrzekł.

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego—mruknął nie podniosszy nawet oczu; zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

— Oszalał! szepnąłem do Józefa, który zdala był niemym świadkiem tej sceny. Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

— Zwierzę—rzekł mój kolega wzgardliwie.



krzyki dziennikarskich bałaguliów, harających na *polskom woprosie* po zabłoconej wie Moskiewskich lub Petersburgskich Wiedomosti.

Szanujemy siebie i szanujemy sprawę, którą nam jest droga. Artykuły p. Katkowa i p. mogą nam — mówiąc językiem Platona — polecać śledziona, mogą nam dać materiały do serdecznego śmiechu w fejletonach i pismach humorystycznych, ale nie do uroczystych protestów. Pamiętajmy, ci panowie nie tylko za naszymi kołami mogą, że denuncjowanie jest ich rzemiosłem. W czasie nihilistycznych spisków nie samo chwytały za pięty swych ziemian, jak dziś chwytają nas. Alboż nie powiedzieli głośno, że liberalna prasa rosyjska jest rodzoną siostrą „podpolnoją”? Alboż *Golos* nie był w ich oczach poprawnym wydaniem *Ziemi i Woli*? Gdyby hr. Lomelirow nie był swą rozumną energią nakłonił ust temu szpiegowstwu, pragnącemu całe państwo wpakować do więzienia na „oczyszczonym” gruncie rosgospodarować się swobodnie, może dziś jeszcze zawalniałoby ono się strawą u siebie i nie gało do nas. Ci panowie denuncjanci nie są tak szkodliwi, jak nam się zdaje. My nie potrzebujemy ich własną krzywdą potępować, ostępowała ich już dostatecznie nieciwsza prasa rosyjska, która *kennt ihre ppenheimer*. Zresztą, jak wyglądają w naszych dziennikach długie protesty wobec własnych słów: „odpierać nikczemne lejrzienia nie jest naszym zamiarem.” Kto — więc nie jest naszym zamiarem to, spełniamy na kilku szpaltach? Bądźmy sobą w zgodzie. Jeśli chcemy polemizować z prasą rosyjską, wyzywajmy do rozwoju: *Golos*, *Motiw*, *Nowosti*, *Stranę*, *Wiestnik Jewropy*, *Otieczestwiennyja Zaki* — wszystkie wreszcie pisma, których rzuty nie są garściami błota, które używają godziwej broni i z którymi łączy nas co najmniej wspólny pomost uczciwości. Nie kuliakujemy się z bokserami.

Serce mi bić zaczęło, przyspieszonym tętnem. Utkwił mi obaj oczy we drzwiach, oczekując niespokojnie jakiegoś strasznego widoku. Wieśniak długo nie wychodził. Od czasu do czasu tylko słychać było głuche stukania, jak gdyby coś przecierał. Nareszcie ukazał się w cieniu siekacz. Okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem po za sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął ałtownie i wywlokł na podwórze białą żywą... krowę. Oslupiałem. Co to znaczyć miało? Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! papierucha! wołało dwostarszych rozpaczliwie. Wieśniak, nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za plot, odwiązał postronki, schnął ją do dołu wśród krzyków dzieci. Popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie piasku. — To nie moja zona, — ale ich matka — krzyknął do nas wskazując na dzieci. Wszystkie wykarmiła, płaccio, płaccio, bo ona już mleka nie da. Dzieci odpowiedziały tak serdecznym niem, że i ja poczułem łzy w oczach. — Bieda, co — mówił dalej — chłopska baba. Zona rok już umiera i dźwignąć się nie może, stery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, ot ta pościwina nam pomaga. Jakem drugiej dopozycył, to i ziarno zwozła i pole zorała i jeszcze dzieciom

Nie pierwszy to raz, dzielając pobudki naszych towarzyszy dziennikarskich, nie dzielimy ich taktyki. O zbyt wielkie chodzi cele, ażeby można było potykać się z małymi procarzami. Tak się nie użytkuje zpraw publicznego słowa wtedy, gdy o nie tyle poważnych interesów się dopomina. Nie starajmy się przekrzyknąć zab w błocie, ale mówmy o naszych potrzebach, życzeniach, dolegliwościach, o naszym narodzie, a mówmy do władz, do żywiołów rozumnych i uczciwych, nie do oszczerców. To są *zmarowane strzały*.

## Gospodarstwo Społeczne.

### ROZSZCZEPIANIE PRACY.

#### I.

Ze wszystkich stron życia społecznego ekonomiczna posiada niezaprzeczenie największej żywotności i siły. Podczas gdy poglądy i teorie polityczne, religijne, moralne i inne, raz zdobywszy sobie uznanie, przez wieki całe utrzymują swą powagę i otaczane bywają aureolą w oczach ogółu wtedy nawet, kiedy już poważny sąd naukowy stanowczo im prawa bytu odmówił, pojęcia ekonomiczne, nawet wśród najbardziej zachowawczych warstw społecznych, szybkim nieraz i głębokim ulegają przemotom. Podczas gdy pierwsze drogą tradycyi przechodzą z pokolenia na pokolenie a wszczepione od lat najmłodszych w każdą jednostkę, stanowią do pewnego stopnia niezbędną część jej duchowego istnienia, drugie zmieniają się niejednokrotnie w jednym i tem samym pokoleniu a ojcowie chętnie nieraz przejmują je od synów. Przyczyna tej różnicy tkwi niezaprzeczenie w samej naturze zjawisk. Stosunki ekonomiczne dotyczą najrealniejszej, najbliższej z rzeczywistością złączonej strony

naszego istnienia. Głód i chłód — to dwaj dzielni nasi mistrze w nauce gospodarstwa; ich nie zaspakajają teorie i abstrakcyjne systematy; im żadne, najwyżej cenione powagi nie są w stanie nakazać milczenia. Pod ich naciskiem człowiek bezwiednie chwytta się wszystkiego, co mu pomódz może; nie ma dawnej strawy, przyzwyczajają się do nowej i przyceza się w niej smakować. Inne zasady i przekonania społeczne, choć również są wytworem życia, nie zdradzają tak łatwo swego ziemskiego pochodzenia. Jako skutki bardziej skomplikowanych warunków bytu, zrozumiałe dla drobnej jedynie części dojrzalszych umysłów, przechodzą w pojęcia mas z góry, otoczone pewnego rodzaju tajemniczością i powagą. Z drugiej strony, jako bardziej oderwane i do ujęcia oraz ścisłego określenia trudniejsze, łatwiej naginają się do potrzeb chwili, nie tracąc pozornie swego pierwotnego charakteru a przedewszystkim zewnętrznej formy.

Zawsze też i wszędzie postęp ekonomiczny torował drogę każdemu innemu. Konieczność łatwiejszego zaspokojenia materialnych potrzeb pierwsza zrobiła wyłom w ścisłe zamkniętem kole pierwotnych, patryarchalnych rodów, a stosunki z wymiany bogactw wynikające, były początkiem wytworzenia się z nich obszerniejszych kół społecznych, narodów i państw. Też same przyczyny naprzód rozbiły chińskie mury, które odgradzały się starożytność i zmusiły ją do porzucenia narodowej dumy i pogardy dla każdego cudzoziemca. One następnie złagodziły obyczaje, ukrociliły zapal wojenny, żądę podbojów i dążyły do złączenia ludów w powszechnych „świątyniach pokoju.” Wielkie idee braterstwa i równości, zanim przeszły do teorii, ujawniły się faktycznie na niwie ekonomicznych stosunków. Przeciśkani potrzebą, dumni swem pochodzeniem patrycyusze zawsze i wszędzie wcześniej uczyli się z musu dłoń podawać boga-

mleka dała. Ha, wola boza. Zdechniemy i my, jak ona zdechła.

— Cóż jest waszej żonie? spytałem.

— Chłop nie pan, żeby wiedział, na co umiera. A bom ja doktor? Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, że to kółtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili kapkę, napiła się, ale gdzie tam? Pokrzywiło i trzyma a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boże bądź miłościw. O, moja biedna papierucha — zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

— Papierucha! papierucha! wołały one ustawicznie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

— Nie płaceta małe — krzyknął ojciec — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sowite wsparcie. Trudno, co można.

— Przyjmijcie ode mnie gospodarzu 10 rubli — rzekłem zakłopotany — tyle tylko wam dać mogę.

Pocziwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzał na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały a z oczu poląły się strumienie łez.

Odwróciłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcin.

— Jest oś — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamysleniu. Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcja już się rozpoczęła. Gdy wchodziłem do auditorium, usłyszałem, jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie:

— „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień...”

W tej chwili Józio spojrział na mnie i uśmiechnął się smutnie.

W. Okoński.



tym plebejuszom, zanim w teorii do braterstwa z nimi się przyznali.

Ruchliwy ten i postępowy charakter pojęć ekonomicznych, nie zawsze naturalnie w jednakowej występował mierze. I one, choć w mniejszym stopniu od innych sfer życia społecznego, przechowywały i przechowują się dłużej, niż potrzeby i warunki, które je kiedyś do życia powołały; i w ich dziedzinie niejednokrotnie spotkać się można z przesadami. Zależy to przede wszystkim od rozwoju życia ekonomicznego w danym społeczeństwie, od stosunku jego do innych czynników społecznego bytu. Tam, gdzie cały ustroj socjalny opiera się na przywileju i monopolu, gdzie polityczne różnice stanowią nieprzeparte dla jednostek zawady, działalność gospodarczą zbyt szczypty ma zakres. Ideje i pojęcia ekonomiczne w zależności pozostawać muszą od innych, a ztąd i oddziaływanie ich na nie odbywa się powoli tylko i z trudnością.

Wielkie wypadki końca zeszłego stulecia stanowią erę w dziejach ekonomicznego rozwoju narodów. Zwaliły one podstawy średniowiecznego ustroju, którego cechą była, między innymi, przewaga idei polityczno-religijnych nad ekonomicznymi. Zniesienie monopolu, jako zasady społeczno-gospodarczego bytu, i pozostawienie swobodnemu współzawodnictwu szerokiego pola zapewniło stanowczy tryumf idejom ekonomicznym i zniósło sztuczne tamy rozwojowi ich stawiane. Dla tego, gdybyśmy potrzebowali charakteryzować tło różnych epok historycznych, nazwalibyśmy naszą okresem idei ekonomicznych, tak jak stulecia XVII i XVIII—epoką idei politycznych, a wieki średnie—religijnych. Rozumie się, że uważając wypadki końca zeszłego wieku za początek nowej ekonomicznej doby życia ludzkości, mamy na myśli rozwój jej ogólny. W pojedynczych społeczeństwach zjawisko to występuje wcześniej lub później, a nasze w tym względzie zajmuje jedno z miejsc ostatnich.

Wyzwolenie idei ekonomicznych z pod nacisku innych pozwoliło im wykazać w całej pełni przyrodzony, ruchliwy charakter, oraz wywrzeć jawny wpływ na wszystkie inne strony społecznego bytu. To też każdego zadziwić musi niezwykła, niemal gorączkowa szybkość rozwoju w naszym stuleciu, nieustający szereg przewrotów w sposobie życia, kierunkach pracy, potrzebach i formach ich zaspokojenia. Obok tego, śledząc bieg różnych idei i pojęć, zwłaszcza zaś tych, które wiek obecny od minionych przejął w spuściznę, niepodobna zaprzeczyć, że stopniowe ich przemiany odbywają się głównie pod wpływem przyczyn ekonomicznych. One stanowią jak gdyby pomost, rzucony nad przepaścią, rozdzielającą ludzi odmiennych przekonań i różnego stanowiska; one równają w prawach i obowiązkach osobistości, różniące się znaczeniem, potęgą i położeniem towarzyskim.

U nas, jak już wspominałem, warunki, sprzyjające rozwojowi ekonomicznemu, pojawiły się znacznie później, niż w krajach, przodujących cywilizacyjnemu pochodowi ludzkości. Ztąd też i wyzwolenie się odpowiednie pojęć z pod wpływu uboższego nastąpiło niedawno i wiele jesz-

cze w gospodarstwach naszych pozostawiło cech epoki dawniejszej, które gdzieindziej już zatarte zostały. Wprawdzie my także podążamy i to coraz śmielej w tym samym kierunku, a w wielu razach chętnie szukamy wzorów u obcych; niedokładnie jednak zrozumieliśmy ducha ekonomicznego postępu i często niepowodzenie skłonni raczej jesteśmy przypisać błędności zasady, niż wadom jej wykonania.

Jedną z charakterystycznych właściwości dawnej, średniowiecznej ekonomiki, właściwości, która u nas znacznie dłużej niż na zachodzie Europy się przechowała i do dziś dnia jeszcze ślady swe zostawiła, było przekonanie, że ideałem gospodarstwa każdej jednostki powinno być wytwarzanie dla siebie najróżnorodniejszych przedmiotów, a obywanie się, o ile można, bez wszystkiego, co trzeba było *nabyć* z zewnątrz, za gotówkę. Przekonanie to, które i obecnie niemało liczy wyznawców, było niedawno jeszcze powszechne. Głoszono je prywatnie i publicznie, w formie beletrystycznej i naukowej, w tendencyjnych obrazkach z przeszłości, a nawet w poezji. Boć jego to rzecznikiem był poeta, gdy pisał:

Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa,  
Spokojny siadł do stołu wiejskiego warzywa,  
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynie  
W domu napój i wierną przy boku drużynę.

Dość jest przeczytać który z licznych opisów dawnego, zamożnego gospodarstwa szlacheckiego, żeby spostrzedz, do jakiego stopnia usiłowano regułą tę urzeczywistnić. Chlubą gospodyni było pochwalić się największą różnorodnością zapasów własnego wyrobu. Pieczywo wszelkiego rodzaju, od razowca do pierników, marynaty i wędliny, konfekty i różne gatunki wódek, a nawet popularniejsze rodzaje leków wychodziły z pod jej pracowitej ręki. Pod jej zaś okiem warzono piwo na domowy użytek, sycono miody, tuczono trzodę i drób, fabrykowano płótno a nawet i sukno. Gospodarz znów, pominąwszy starania o dobrze zaopatrzoną w węgryzna piwnicę, wychowywał zrebaki do swej kolasy, a cielki do pługa i starał się zgromadzić wśród swej czeladzi domorosłych rzemieślników wszelkiego narzędzia: kowala, stolarza, cieślę, kołodzieja, bednarza i innych. Własne swe wozy słał na kraj świata, a piesi i konni posłańcy pełnili obowiązki nadwornych poczt i telegrafów. Słowem każdy starał się stworzyć około siebie mały światek, w którymby królował, w którymby wszystko skinienia jego słuchało i fantazyom rozlicznym dogadzało. Mały ten światek był prawie nieodłączny od osoby swego władcy i ruszał się wraz z nim, gdy zaszła potrzeba podróży. Obok kolasek, wlokły się wozy z prowiantem dla państwa, sług i koni z zastawą stołową i kuchennym rynsztunkiem. Rzecz oczywista, że szybkość podróży przy tym systemacie nie mało pozostawiała do życzenia. Na popasach i noclegach rozkładano cały tabor, zastawiano stoły i podejmowano nawet spotkanego w podróży gościa. Zresztą, pominąwszy już znane dzisiejszemu pokoleniu z opisów tylko fakty, w niedawnej jeszcze przeszłości, bo zaledwie kilkanaście lat temu, spotkać jeszcze można było na małą skalę ich odbicia. Wielu z nas, nawet młodszych, pamięta pewnie zjazdu na walne jarmarki,

na które szlachcie zwoził ze sobą wiktuały i bigosy, drób i kosze wina ze swej piwnicy, którymi raczył w najętym mieszkanku znajomych.

Karol Dunin.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Badania przyrodnicze.

### O RUCHU ROŚLIN.

Charles Darwin, *The power of movement in plants*,  
London 1880.

Wejście do wielkiej świątyni naukowej we wsi Down, zasnuwają ciągle swą siłą krzyżaki, które łowiąc łatwowierne muchy w pajęczynę, tłomaczą im, że po za nią w ciemnej jaskini kryje się cychający na nie potwór. Od czasu do czasu jednak przez tę pajęczynę przeblyskuje nagle światło, ze świątyni wychodzi sędziwy arcykapłan nauki i ogłasza uroczyste światu nowe jej tajemnice. Wspaniały widok trwa przez chwilę, wreszcie mistrz niknie i pajaki zaczynają znowu prąść swoją siatkę.

Przed kilku właśnie tygodniami z pracowni Darwina uderzyła jasność; wielki badacz ukazał się i odsłonił nową tajemnicę natury—władzę ruchu u roślin.

Mniej posiadając uzdolnień do sądzenia pracy tego olbrzyma, niż liczni członkowie prawowiernego trybunału, którzy go skazali na osiedlenie w piekle, poważamy się tylko przedstawić czytelnikom główne zawarcie ostatniego dzieła Darwina.

Nie pierwszy on zaczął badać ruchy roślin; składa też część ze zwykłą mu skromnością zasługom swych poprzedników: Sachs'a, Fries'a, Wiesner'a, Pfeffer'a, Vinea, Hofmeister'a, Frank'a, Richtera i Brückego. Wsparłszy się na fakcie, że części roślin pozostają w ciągłym ruchu, bada on przyczyny i cel tego zjawiska.

Przez cały szereg spostrzeżeń objaśnionych licznymi przykładami i rysunkami, dochodzi do wniosku, że ów ruch jest nieregularnie eliptyczny, prawie owalny, co widzimy np. u wszystkich pnących się roślin. Łodyga, zwrócona ku północy, kłoni się nieznacznie ku wschodowi, następnie na południe i zachód, i znowu wraca do północy. Gdyby to się odbywało regularnie, ruch jej zakreszałby koło, albo raczej—skutkiem wzrostu rośliny—linię spiralną. Czasem jednak wierzchołek robi zygzaki, trójkąty lub zwoje. Darwin nazywa ten ruch *circumnutation*, co w braku odpowiedniejszej nazwy, możnaby wyrazić przez zataczanie lub kołowanie. Krzywizny wzrostu organów wielokomórkowych objaśniano długo szybszym wzrostem komórek na zewnątrz wysuniętych; wynika to wszakże z ich poprzedniego nabrzmiewania, którego przyczyna nie jest dotychczas znana. Wszystkie części rośliny, przyjmujące udział w jej wzroście, odbywają ten ruch obrotowy, zarówno nasienie przed wydobyciem się jeszcze na wierzch, jak zagłębiający się korzonek, jak wreszcie listki przybierające w nocy kierunek pionowy, aby ochronić swą powierzchnię od zmarnięcia. Zwrot roślin ku słońcu, dążenie łodygi w górę, a korzenia ku środkowi zie-



## Z GALICYI

Kraków 15 grudnia.

Prawda w Krakowie. — „Kolo literackie.“ — Walka o godności. — Popisy wydawnicze. — Pan Himmelblau jako krzewiciel katolicyzmu. — Dwutygodnik *Museum*. — Jego ciemny drogowszak. — Ofiara nóg dla Mickiewicza.

Wezwany do pisania listów o życiu społecznym, literackim i artystycznym Krakowa, czynię zadość żądaniu waszemu z ochotą, ale zarazem i z bojaźnią. Tytuł pisma waszego wyraźnie wskazuje cel jego i dążności, a co główna — wymaga od współpracowników najniebezpieczniejszej rzeczy: mówienia prawdy. Bagatela!

Jeżeli prawda znajduje jeszcze gdziekolwiek zwolenników, to w Krakowie skazana została na wieczne wygnanie, a gdy uda się jej czasami wejść niespostrzeżenie przez miejskie rogatki, to oblawa na nią urządzona przestraszyć może najodważniejszego.

To też gdyby kiedykolwiek z mojej sprawozdawczej twarzy spaść miała maska, będą miał wrogów w c. k. starostwie, c. k. dyrekcji policji, w prezydencie miasta i radzie miejskiej, w wszechpotężnej redakcji *Czasu*, w panu Koźmianie, Popielu, w ciele Akademii Umiejętności, w szanownych instytucjach bankowych, w sławetnych „łykach“ miasta Krakowa, w towarzystwach ś.tej Salomei, ś-go Łukasza, ś-go Wincentego à Paulo, ba! nawet *Djabel* i p. Maryan Sokołowski, uczony członek Akademii, stronić odemnie będą jak od zapowietrzonego.

Po tym przedśpiewie do rzeczy. Długo oczekiwane, a jeszcze dłużej w żywocie ojców noszone, Kolo artystyczno-literackie przyszło już na świat pod postacią zbierania wkładek od członków. Na nowy rok ujrzy się ono we własnej siedzibie obok pierwszorzędnej kawiarni. Jeżeli sądzić można z dotychczasowych wróżb, będzie to może jedyne, nie w zakrystyi wykołysane dziecie krakowskie, które się wychowa pomimo przeszkód, stawianych ze strony wszechwładnych opiekunów naszego publicznego życia. Nie myślcie jednak, aby zgoda panowała w gronie członków instytucji i to właśnie bodaj czy nie jest najlepszym znakiem jej dobrej przyszłości. U nas przy ogólnej zgodzie trudno cokolwiek przyprowadzić do skutku, a tu pomimo swarów i kwasów rzecz stanęła. Dowodzi to potrzeby Towarzystwa i zrozumienia jej przez ogół. Spór o dostojenstwa komitetowe wywołał starcia. Dwie listy z sobą współzawodniczyły: jedna stańczykowska, druga mięszana. Stoczono tak zaciętą bitwę, że jak się ktoś dowcipnie wyraził, p. Juljusz Mien na 58 głosujących otrzymał głosów 60. Sympatyczny Juljusz Kosak nie miał przeciwnika na godność prezesa. Kandydatura na wice-prezesa p. Adama Asnyka zwyciężyła kandydaturę p. Sadowskiego, członka redakcji *Czasu*. Najzarliwiej jednak bito się o sekretarstwo. Artyści, paru literatów i p. Bartoszewicz byli za p. Bartoszewiczem; stańczykowscy zaś dziennikarze, paru artystów i p. Ziemięcki za p. Ziemięckim. *Les deux font la paire*, chociaż z dwójga złego wybierając, wolelibyśmy pierwszego, który, lubo o nim w literaturze jakoś dotąd nie słyhać, wię-

cej jej oddał usług skrzętnem wydawnictwem dzieł ojca, niż p. Ziemięcki swemi archeologicznemi stękaniami. Ale pan Bartoszewicz jest nie synem, lecz co najwyżej pasierbem stańczyków; zwyciężył przeto p. Ziemięcki, czego jemu a nie Kolu winszujemy. Dalsze wybory na członków komitetu pogodziły oba stronnictwa: jedno z nich reprezentują pp. hr. Tarnowski, Szujski, ks. Polkowski; drugie pp. Bałucki, malarz Pruszkowski, niedoszły sekretarz Bartoszewicz i inni.

Może kolo literackie wpłynie choć cokolwiek na krakowską literaturę. Pomimo Akademii Umiejętności, pomimo patentowanych uczonych i literatów, pomimo niezwykłej ich płodności, czego dowodem wywóz do Lwowa i Warszawy, sprawy piśmiennictwa mniej zajmują ogół mieszkańców, niż produkeyemiss Wandy, pokazującej się na linie w teatrze. Niechęć do czytania, przymiot wspólny  $\frac{9}{10}$  obywateli Krakowa, prowadzi za sobą zupełny zastój wydawniczy. Utwory pióra idą na targ warszawski, gdzie wszystkie zbyt znajdują, pomimo lichoty wyrobu. *Czasu* do wydawnictw literackich zaliczyć nie można, *Przegląd* drukuje w braku artykułów przerażając nudne prace pana Tomkowicza, a jeżeli czasem zabłyśnie, to pożyczanym blaskiem z Poznania: kryjący się pod pseudonimem Seweryna Przerowa znany historyk wielkopolski ratuje *Przegląd* od moralnego upadku; materyalny bowiem obchodził już swoją 14 letnią rocznicę. Zresztą tak *Przegląd* jak i *Czas* są to wydawnictwa, czerpiące swą siłę w prywatnych funduszach: gdyby nawet nie miały jednego prenumeratora, wychodziłyby dla potrzeby partyi. Książkowa zaś literatura krakowska przedstawia się w oplakanym stanie. Nie możemy tutaj zaliczać dzieł Fredry, Bartoszewicza itd. — są to bowiem wydawnictwa przypadkowo w Krakowie prowadzone, niezwiązane z nim wspomnieniami autorów, ani funduszami. Wydawca Fredry p. Gebethner ma interes w popieraniu drukarni krakowskiej Anczyca, jest prawie zmuszony używać jej do swoich wydawnictw, które nie wspólnego z Krakowem nie mają. Historia Szujskiego wyszła w Warszawie, dzieła Siemińskiego wydaje Unger, Bobrzyńskiego Gebethner! Cóż więc, spyacie, rodzi się w Krakowie? Posłuchajcie: oto szereg wydawnictw czysto krakowskich z ostatnich 6-ściu, 7-miu miesięcy:

1. *O zakładach naukowych XX. Pijarów*, napisał X. Czemerski. Broszura ta wydana została w celu przysporzenia k-dzu Słotwińskiemu uczniów do jego konwikt.

2. *Ilyada* Homera w tłumaczeniu Pawła Popiela jun. Nakład własny autora. Tłumaczenie ciężkie, lecz sumienne.

3. *O sejmie czteroletnim Kaliniki* — napisał p. Paweł Popiel odbitka z *Przeglądu*. Praca nie naukowa, ale zabawna.

4. *Pamiętka* pobytu w Galicyi Najjaśniejszego Cesarza Franciszka — Józefa, ułożył A. Nowolecki. Jest to wykaz wszystkich członków straży honorowych, wszystkich jednobrzmiących przemówień, opis daru wręconego cesarzowi przez autora książki, — słowem bezużyteczna zbierani-na rozmaitych gazeciarskich artykułów.

ni, są to tylko odmiany *circumnutacyi*. Zbożenia od tego ruchu są następstwem zewnętrznych lub wewnętrznych podrażnień — ciśnienia, wilgoci, światła i ciężkości — działających na niektóre części rośliny, podczas gdy inne opierają się lub nie podlegają temu wpływowi.

Włókienka korzeni dążą na dół, poruszając się spiralnie. Przebijają one grunt, jeżeli jest miękki lub kruchy, a *circumnutacja* ułatwia im posuwanie się. Włoski owych włókienek przyczepiają się silnie, gdzie tylko mogą, nawet do gładkich kamieni i szkła, jak pouczają doświadczenia. Skutkiem tego korzeń staje się silniejszym, włókna wwiercają się dalej i wzmacniają do tego stopnia, że korzenie bobu mogą podnieść wagę kilku kilogramów. Najchętniej jednak wciskają się w szpary, szczeliny i wydrążenia porobione przez owady. Młode roślinki, wydobywające się na powierzchnię i mające stoczyć ciężką walkę o byt, są nadzwyczajnie wrażliwe na działanie światła, wilgoci i ciśnienia. *Circumnutacja* pozwala im unikać tych wpływów lub także ulegać. Wzrost łodygi, liści, gałęzi, zostaje w ciągłej od niej zależności. Ruch może być zmieniony przez zewnętrzne lub wewnętrzne wpływy. Starzejące się liście, które w młodości miały kierunek pionowy, pochylają się ku dołowi; szypułki kwiatowe po okwitnięciu prostują się lub opadają i t. d. Sen czyli nocny ruch liści zależy od zmiany światła i cienia. Wiele gatunków posiada tę własność, że jeśli w ciągu dnia nie były dostatecznie wystawione na działanie światła, nie doznają niejako zmęczenia i nie śpią w nocy. Doświadczenia dowiodły, że np. akacje można usypiać i budzić sztucznie. Darwin zdołał utrzymać w stanie snu gatunek zwany *Perhiera*, nie polewając tej rośliny w ciągu dnia. Jeżeli światło jest niedostateczne albo nierównomierne, wywołuje ruchy niepowne i eliptyczne; przy wzrastającym natężeniu światła, ruch staje się zygzakowatym, a gdy ono pada tylko z jednej strony — prostoliniowym.

Bardzo częste części rośliny pobudzane bywają w bardzo niejednostajny sposób. W korzeniowych włóknach czułość skupia się w ssaczkach. Życie rośliny objawia się tam najsilniej, wpływ zewnętrznych okoliczności, przyjaznych lub nieprzyjaznych, przenika najbardziej i oddziałuje na cały organizm: „Bez przesady wyrazić to można w następujący sposób: wyszaczkli włókien korzeniowych, posiadające zdolność kierowania ruchami innych części rośliny, spełniają tę samą funkcję, co mózgi zwierząt; mózg (rośliny) ma właściwie siedlisko w dolnej części organizmu, otrzymuje wrażenia za pośrednictwem naczyniów zmysłowych i włada ich ruchem.“

Taki jest ostateczny wniosek Darwina. Nie wypowiada on — jak rzekliśmy — pierwszego słowa w tym przedmiocie, ale go genialnie pogłębia. Nie kusząc się o stawianie trudnych zarzutów, pozostawiamy wyrobki badań wielkiego przyrodnika tym, którzy się z nim zmierzyć mogą.

G. M.



Uwiecznienie nazwisk wszystkich członków rad powiatowych, delegacyi itd. podwyższyło wartość dzieła dla przekazanych potomności galicyjskich mieszczan, żydów i obywateli.

5. *Wiersz jubileuszowy* pana Tomkiewicza czy Tomkiewicza. Przyczynę do literatury księdza Baki.

6. *Wiara i miłość*, książka do nabożeństwa, ogłaszana plakatami, ułożona przez fabrykanta książek nabożnych i moralnych p. Morawskiego, niegdyś żuawa papieskiego.

7. *Listy pani Apatii do pani Postępowskiej*, serya druga, napisał X. Siemieński. Jestto odbitka z *Echa*, zawierająca poglądy autora na literaturę, sztukę, publiczne zabawy, filozofię — jednym słowem bigos z francuzką przyprawą. Na końcu trawestacya wiersza Adama: „do matki Polki.“ Świetny pomysł parodii połączył się z mistrzowskim wykonaniem. Oto próbka:

Wiesz nam powiedział: młodość jest rzeźbiarka,  
Przez matkę żywot kuje się cały (?!).  
Choć młode lata płyną same szparko.  
Przykład rodziców do grobu jest trwały.

Znajdujemy tam również: „o posłaniu bez pierza“ o uprawianiu ogródka, o sukmanie i o ks. Dupanloup.

8. Rozmaitego gatunku *Kalendarze*. Dr. Władysław Milkowski zniósł kalendarz katolicki z dodaniem opłatka w czerwonej bibułce.

Nadarmo męczę pamięć, aby wam wyliczyć choć jedno więcej wydawnictwo krakowskie. Ach! prawda! Pan Himmelblau, jedyny nasz wielki nakładca, wydał książkę do nabożeństwa dla uczącej się młodzieży. Firma wydawcy ręczy już sama o czystości uczuć katolickich rozlanych w tej książce.

Zawczasie jednak byłoby rozpaczając nad literaturą krakowską. Świetną jej epokę zwiastuje dwutygodnik polski *Muzeum*, mający w d. 1-szym stycznia po raz pierwszy zejść na widnokręgu naszego grodu. Wydawcą jego jest dr. Tadeusz Rutowski, nieznany — podobno filozof i archeolog, inni twierdzą, że ekonomista. Dla nas nie ulega wątpliwości, że musi to być człowiek dobrych chęci. Dowodzi tego sam fakt zakładania czasopisma, co jak wiadomo w Krakowie jest dobrowolnem zręczeniem się części dochodów lub majątku. I to wszakże jest dla nas pewnem, że p. Rutowski bardzo zawodnie roi, jeśli sądzi, że pismo zezasem samo się utrzyma. Pretensjonalny przytem prospekt jego zapowiada tyle i tak ciemno, że aż w głowie zawrót sprawia.

„Tylko pismo z szeroko zakreślonym programem może połączyć rozstrzelone siły i stać się wiernem odzwierciedleniem wszystkiego, co się u nas myśli, czuje i przedsiębierze, kronikę współczesną wszelkich dorobków cywilizacyjnych, polskich i obcych zaznaczającą główne kierunki i prądy, wielkie zagadnienia społeczne, naukowe i literackie, oraz główne fakta — i w ten sposób ścięsnąć węzły, łączące nas z życiem społeczeństw bliższych nam i dalszych, a mianowicie pragniemy wobec niedostatecznego zajęcia się objawami życia umysłowego narodów słowiańskich, baczniejszą na nie zwracać uwagę.“

Po tym i temu podobnych ustępach idzie jeszcze zapewnienie, że *Muzeum* służyć będzie *rzetelnemu* postępowi (znamy się na tych *rzetelnych* postępach), trzymając się tradycyi, ale nie tej, pod którą podszywa się rutyna i nieuctwo! Nakoniec redakcyja wypowiada... „walkę frazesowi.“ Zaiste, będzie ona musiała stoczyć najprzód ciężką walkę... z sobą! Lista współpracowników nie wiele nas uczy, chociaż znajdują się między nimi nazwiska: prof. Bobrzyńskiego, Franciszka Czernego. O Szwarzenbergach, architektach i tłumaczach, rozsiadających się obficie na kurulnych krzesłach prospektu, nie nie wiemy.

Minawszy teatr, w którym pewna miss i pewien Franz (łącznie z komedią Bałuckiego, zapewne dla okazania braterstwa sztuki) wzruszają nas na linach i trapezach; minawszy Wystawę Sztuk Pięknych, która dopiero czeka na nowych gości, donoszę jeszcze pocieszającą wiadomość, że hr. Tarnowski urządza bal na dochód pomnikowego funduszu Mickiewicza. Nie zebraliśmy, ale na pewno wytańczymy pomnik dla naszego wieszczu. O ironio, ten, który oświecił nam głowy i rozgrzał serca, zawdzięczać będzie swą cześć w Krakowie naszym... nogom! J. G.

## Z NIEMIEC.

### Dopisek do średnich wieków.

Chrześcijańsko-żydowska walka. — Jej sprężyny, zasadność ekonomiczna i moralna. — Łączność izraelitów z żywiołami wolnomyślnymi. — Właściwa natura starcia według Richtera. — Przypomnienie rojeń De Cancelli, okadzonych przez K. Vogta. — Głos Mommsena. — Formula przyswajania się ludów.

Skoro chrześcijańsko-żydowska walka już się skończyła a co najmniej przerwała, i tylko słyhać jeszcze odgłosy drobnych bijatyk pięściowych, spójrzmy na dziwne jej pobojuwisko, nad którem dotąd unosi się gęsty dym sejmowych, dziennikarskich i klubowych strzałów. O co szło i kto zwyciężył?

Są tacy, którzy pierwszą połowę tego pytania usiłują zbyć przypuszczeniem, że w wielkiej menażeryi pruskiej drapieżne junkierstwo, podrażnione w swych dzikich instynktach czczością obecnego życia politycznego, w którym hojny karmiciel od dawna już nie dostarcza mu żadnej posilnej strawy, rzuciło się na zamkniętych z niem żydów i poczęło ich zagryzać. „Coś trzeba zdobywać! — woła ironicznie K. Vogt. Po wojnie francuzkiej — Watykan, ponim — socyalizm a teraz, gdy żadna nowa wojna się nie zbliża, a zwierzęcości w ciele powstrzymać nie można, dalej na żyda! — Ta wszakże sprężyna, chociaż istotnie tkwi w pożądaniach teutońskich, nie zdołałaby sama wprawdzie w tak gwałtowny ruch tylu różnorodnych żywiołów; musiały więc łącznie z nią działać inne, może od niej potężniejsze.

Wielojęzyczny gwar drużyny dra Stöckera spłynął się w dwa główne oskarżenia: ekonomiczne i moralne. Żydzi — wołano — wyparli nas zewsząd, ogarnęli wszystkie pola gospodarstwa społecznego: przemysł, handel, giełdę — i uczynili nas swoimi włodarzami, którym niedługo miejsce wymówią. Mniejsza o ich zabory ekonomiczne — odparli drudzy — główna zdróżność w tem, że rozpanoszywszy się w naszym domu, zbezczeszczają nasze ołtarze. Ich dzienniki, składające przeważną część prasy niemieckiej, drwią ustawicznie z naszej religii, z duchowieństwa, ze wszystkich form cywilizacyi chrześcijańskiej.

Oba te zarzuty, w oderwaniu słuszne, w związku z miejscowymi stosunkami nabierają odmiennego nieco znaczenia. Naprzód, kto są *my* a kto *oni*, kto Niemcy a kto żydzi na gruncie niemieckim? Czy są to oświeceni chrześcijanie i ciemni azyaci z Nalewek lub Muranowa? Nie, ród galicyjskich, polskich lub rosyjskich izraelitów osobnego chowu w Niemczech znikł, przetrworzył się i rozplął w potężniejszym oden żywiole germańskim, którego oświata go starła, strawiła i przyswoiła organizmowi narodu. Dziś ślady tego napływowego pierwiastku pozostały tylko pod rubryką wyznań w spisach ludności i — o ile krzyżowanie się ras nie zgładziło odrębności — w znamionach semickiego typu. „Co to znaczy — pyta bezstronny i poważny tej sprawy sędzia, T. Mommsen — gdy p. Treitschke żąda od naszych izraelskich współobywateli, ażeby się stali Niemcami? Wszakże są Niemcami, równie jak on i ja, Może on być od nich cnotliwszym, ale czy cnoty stanowią Niemca?“

Otóż, czy przy takim stopieniu się pierwiastków etnologicznych można mówić o jakimś ekonomicznym podboju i wydarciu? Zszedłszy ze stanowiska klerykalno-szlacheckiego, ze stanowiska Treitschkego lub Stöckera, nie dostrzeżemy weale tej ostrej różnicy żywiołów i ich dążeń, jaka istnieje w innych krajach a zwłaszcza w Galicyi i Królestwie Polskiem. Czy na giełdzie berlińskiej panuje Bleichröder czy Windhorst, to jest zupełnie równoważnem dla każdego, kto ramionami swemi nie podpira ani feudalnych zamków, ani izraelskich bóżnic, ani ultramontańskich stolic. Obaj są zarówno Niemcami z tą tylko odmianą, że przodkowie jednego karmili się soczewicą w Judei, a drugiego zołędziami w teutoburskich lasach. Żadna więc chrześcijańsko-żydowska walka ekonomiczna w Niemczech podjąć się nie da bez sztandarów szlachecko-religijnych.

I na drugi punkt oskarżenia stosunki niemieckie dają pouczającą odpowiedź. Jak wszędzie, tak i tam oświeceni żydzi, nie mając własnej cywilizacyjnej podstawy, na której by się *zachowawczo* oprzeć mogli, a z drugiej strony odrzuceni przez żywioły konserwatywne, zamknięte w stałych granicach pochodzenia i wyznania, z konieczności i z interesu przylegają do pierwiastków wolnomyślnych, nieopasanych tym podwojnym ostrokołem, popierają ich dążenia i podzielały zasady. Nie zuchwałstwo więc pobudza ich w Niemczech do wystąpień przeciwko tak zwanym stronnictwom chrześcijańskim, ale łączność z obozem liberalnym. To też ze wszystkich rakiet w sejmie, mogących oświecić pole i taktykę walki, najjaśniejsze niewątpliwie na nią światło padło ze słów posła E. Richtera, według którego nie chrześcijanie wypowiedzieli moralną wojnę żydom, ale wsteczniczy postępowcom. Nie przeto dziwnego, że ci ostatni całą gromadą stanęli po stronie napadniętych. To wydarzenie i ogłoszenie utajonego w stöckerowskich szeregach hasła najbardziej może zdecydowało los starcia i przyczyniło się do niepowodzenia całej krzyżowej wyprawy. Dziś żydzi obchodzą tryumf, bijąc w swych gazetach salwy z dział najgrubszego kalibru na cześć odniesionego zwycięstwa. Znany zapewne jest czytelnikom *Prawdy* protest (przeciwko *Judenhetze*), podpisany przez kilkadziesiąt pierwszorzędnych powag niemieckich a zasługujący na to, ażeby go żydzi zamiast *mezyze* przybijali na odrzwiach swych domów. Oprócz tych kilkudziesięciu armat, wytoczonych dla pokonania nieprzyjaciela, przybywają im ciągle nowe, niemińszej siły, których huk powtarza się tysiącznem echem w („żydowsko“) liberalnej prasie. Każdy niemal jej numer powiewa niby chorągiew, zapisana błogosławieństwami jakiegoś uczonego. Niektórzy do z tych błogosławieństw przechodzą ziemią dumy izraelskiej i zasługują



Jeden z dzienników np. powtórzył słowa znakomitego botanika francuskiego Al. de Candolle'a <sup>1)</sup>, który w swej: *Histoire des sciences et des savants depuis deux siècles* (Genewa 1873) wystawia takie świadectwo żydom, jakiego im podobno jeszcze nikt nie udzielił i — rozważnie sądząc — nie udzieli. Zamiast bowiem przerażać się ich wzrostem, przeciwnie, zachwyca się „obrazem Europy, zamieszkaną wyłącznie przez izraelitów.“ Bo i jakże by w przypuszczeniu obraz taki wyglądał? „Nie byłoby — powiada De Candolle — wcale wojen; moralnych zatem uczuć nie obrazowałyby tak często, milionów ludzi nie odrzucano od pożytecznych prac, brzemień podatków i długów państwowych stałoby się lżejsze... Uprawiano by bardzo szeroko nauki, literaturę, sztuki a zwłaszcza muzykę. Kwitnąłby handel i przemysł. Napady na osoby byłyby bardzo nieliczne, a gwałtowne występki przeciwko własności popełnianoby bardzo rzadko. Bogactwo, skutkiem oszczędności, połączonej z rozumną i systematyczną pracą, wzrastałoby niepomieranie. Bogactwo to wytwarzałoby wspaniałą dobroczynność. Duchowieństwo nie ścierałoby się z państwem wcale albo tylko w sprawach drobnych. Na nieszczęście urzędnicy ulegaliby nieraz przekupstwu i nie posiadali dostatecznej siły charakteru. Małżeństwa zawierano by wcześniej i często, szanowano niemal powszechnie, a zatem zło, wynikające z nieobyczajności, zdarzałoby się rzadko. Okoliczność ta, w połączeniu z kilkoma dobrymi przepisami higienicznymi, uczyniłaby ludność zdrową i piękną. Urodzenia byłyby częstsze, średni wiek życia dłuższy. W skutek wszystkich tych przyczyn ludność wzrastałaby niezwykle. Wytworzyłby się stan Chin z większą moralnością, z większym ukształceniem i większym smakiem a bez tych buntów i rzezi, które kalają państwo niebieskie.“ Nakreśliwszy ten naiwnie sielankowy wizerunek, De Candolle dodaje, że „takie społeczeństwo nie mogłoby się długo ostać. Gdyby — powiada — w Europie lub krajach sąsiednich pozostało bodaj kilku potomków starożytnych greków lub rzymian, kantarów lub celców, germanów, słowian lub hunnów, wkrótce ujarzmiłoby, zgniętił i zrabował ową olbrzymią ludność izraelską.“ Według De Candolle'a żydzi tem są w świecie ludzkim, czem trawożerne wśród drapieżców w królestwie zwierząt. I skąd to pochodzi — pyta autor — że oni posiadają instynkt wyższej cywilizacji? Nie jest to wynikiem religii, bo Stary Testament technicznie okrucieństwem i surowością, podczas gdy Nowy uczy łagodności. Nie jest to również skutkiem ich dziejowych kolei, lecz przyrodzonych usposobień i wczesnego rozwinięcia duchowego. „Już przed dwoma tysiącami lat posiadali oni uwagi godne pojęcia moralne i umysłowe,“ gdy tymczasem „chrześcijanie za ledwie wychodzą z barbarzyństwa.“ Środkowa Europa walczy ciągle z zastarzającymi gwałtami i rozbojem; południowa krwawą zemstę uważa za cnotę; przed dwoma jeszcze wiekami palono kacerzów i czarownice a na początku bieżącego stulecia wieszano w Anglii za najdrobniejszą kradzież.

Cały ów wywód ma chyba tę tylko zaletę, że w ocenieniu jego wartości krytyk może się bezpiecznie wyręczyć rozumem każdego logicznego czytelnika. Bukiet zachwytów szanownego przyrodoznawcy nie jest dla nas wonnym, lecz duszącym, tak duszącym, jak dla obcych są niewątpliwie uniesienia Koronowiczów i Krasinśkich nad naszą nieporównaną, całemu światu nieznaną doskonałością. „Od szczytności do śmieszności krok jeden“ — powiada francuskie przysłowie; De Candolle krok ten zrobił. Łatwo jednak pojąć, że ta apoteoza jego przydała się izraelitom w walce,

w której ich odarto ze wszystkich instynktów cywilizacyjnych. Gorętszej pochwały nie napisałby im sam Mojżesz. Pierwszy raz chyba chrześcijańskie usta zatwierdziły tak uroczyste ich tytuł ludu wybranego, pierwszy raz chyba uznano ich za ziarnko czystego złota w mule barbarzyństwa całej ludzkości. Wszystkie narody, począwszy od polaków aż do hiszpanów, zarzucił De Candolle i zrobił z nich całopalenie na ołtarzu Abrahama i Jakoba.

Ofiarę tę okadził mocno drugi arcycapłan nauki K. Vogt. „Drzeć skórę z żydów! woła on we *Frank. Zeitung*. Dla czego? Dlatego, że są od was rozumniejsi? „Oszlachetne barbarzyństwo pod skrzydłem juników i księży! Wzrosło ono wśród wojen i gwałtów, a gdy rozdarło cienkie osłony, w które je spowinięto, dziwimy się, że wyciąga ramiona i tego uderza w twarz, bo ma garbaty nos, tamtego chwyta za gardło, bo ma pełną sakiewkę, innemu nogę podstawi, bo wysokie miejsce zajmuje!“

Jak gwałtownie całe Niemcy ogarnął antyżydowski pożar, dowodem to, że nawet stary, poważny, niemieszający się do spraw chwili Mommsen pospieszył go gasić. Nie podzielał bynajmniej zachwytów w stylu De Candolle'a i Vogta, oprócz samego protestu, wydał nadto broszurę <sup>1)</sup>, która jest silnym strumieniem wody, zalewającym płomienie oraz chłodzącym głowę Treitschkego i Stöckera wraz z całą ich rzeszą. Wywód jego przenikają dwa główne nerwy: 1) że żydzi niemieccy są Niemcami, przedstawiającymi nie większe odrębności od obywateli rozmaitych prowincji i 2) że wszczęta walka rozrywa świeżą jedność państwa, które w niej „jak Saturn pożera własne swoje dzieci.“ „O ileż — pyta Mommsen — żydzi niemieccy są wśród naszego narodu innymi, niż sasi lub pomorzanie? Prawda, że nie są potomkami ani Istewona, ani Ingewona, ani Hermina, wspólne zaś pochodzenie od ojca Noego nie wystarcza zapewne, jeżeli Niemca oznacza germańska próba przodków. Ale gdybyśmy naród niemiecki w obszernym jego stanie skorygowali według *Germanii* Tacytyra, odpadłoby od niego więcej niż dzieci Izraela. Pan Quatrefage dowiódł niedawno, że tylko państwa środkowe są rzeczywiście germańskie, a *la race prusienne* stanowi masę złożoną z zaginionych słowian i innych rozmaitych odpadków ludzkości; a gdy później *la race prusienne* i *la race germanique* wymaszerowały razem jako wielki naród, pomału zaczęto nie dostrzegać żadnej między nimi różnicy... Jestem tego przekonania, że opatrność wiedziała daleko lepiej niż p. Stöcker, czemu dla wyrobienia germańskiego metalu trzeba było dodać pewien procent Izraela... Wzajemna miłość nasza nie jest tak dawna, ażeby mogła nie zwietrzeć... Przyłączenie się do wielkiego narodu wymaga ofiary. Spłacili ją hanowerczy, hessenecy, spłacamy i my szlezwig-holsztyńscy, czując to dobrze, że poświęcamy jakąś część swej własności. Ale poświęcamy ją wspólnej ojczyźnie. I żydów żaden Mojżesz nie wprowadzi już do ziemi obiecanej. Czy sprzedają spodnie, czy piszą książki, jest ich obowiązkiem, o ile mogą bez gwałtu dla swego sumienia, pozbywać się wszelkimi siłami odrębności i burzyć śmiało wszystkie przegrody, oddzielające ich od reszty obywateli niemieckich.“ Innymi słowy: Mommsen radzi żydom przyjmować chrześcijaństwo nie jako religię, ale jako cywilizację. Nie idzie on tak daleko — przynajmniej w słowach — jak Heine, który może nie zupełnie żartobliwie wyraził się, że „metryka chrztu jest biletem wejścia do cywilizacji chrześcijańskiej;“ bo sam przecież w bilet ten się zaopatrzył, chociaż nie przywiązywał do niego później żadnej wagi.

Przyznać trzeba, że okrzykowi „haje na żydów!“, który, dzięki prof. Treitschke'emu, przeniknął do uniwersytetu i pokalał czystość świątyni nauki, nawet z zagranicy Niemiec odpowiedziały przeważnie bądź szydercze, bądź potępiające chóry głosów. Jedni ujęli się za prawami przesładowanych ludzi, a drudzy, lepiej pojmujący istotę walki — za prawami pod tytułem żydostwa napadniętych żywiołów wolnomysłnych.

Nakreśliwszy kontur tego obrazu, podpiszemy go krótkim z naszej strony wyznaniem. Dla człowieka rozumnego, wszystkie plemiennie-religijne wąśnie przecina jedna droga: cygan, który przestał sypiać w lasach i kraść na podwórzu wieśniaczkom prosiętą, gdy jego żona im w izbie przyszość wróży; który osiadł stale, zaczął uczciwie pracować i przejął się uczuciami jakiegoś narodu, jest według nas jego obywatelem, nie zaś cyganem. Podobnie żyd, który przestał wyzyskiwać łatwowierność prostaczków, wyszedł z azyatyckiej odrębności, przyswoił sobie język i spełnia obowiązki przybranego społeczeństwa, jest jego członkiem bez względu na formę nosa i pozycję wyznaniową w księgach ludności. Taka tylko jest formuła społecznego bratania się odmiennych żywiołów. Formuła ta pozwala nam uważać za istotnych a w danym razie za szkodliwych żydów takich ludzi, którzy wśród pewnego narodu chcą stanowić i stanowią odrębną grupę różną od językiem, obyczajami, moralnością, stopniem oświaty, całą wreszcie naturą wewnętrzną i zewnętrzną życia. Po za granicami tego pojmowania konieczne boje można tylko dopisywać do kroniki średnich wieków.

Liber.

## LIBERUM VETO.

Strachy niańki i nauczycielki. — Upiór z Upity. — Ślub dziecienny. — Drzewo wiadomości złego. — Kto może „nie pozwalać.“ — Ludzkość idzie do *liberum veto*. — Katołicy pruscy, rekrut i obywatel. — Stańczycy. — Walewski i Lisiecki. — Ziarno piasku i piramida. — 1:9,999,999 — Tysiącletnia bitwa — Turniej Ormuzda z Arimanem. — Białe dają mat czarnym. — Prawo jest ziemią. — Nawet morze Martwe posiada sól. — Chór i sola, harmonia i kontrapunkt prasy. — Pokazywanie języka całemu światu. — Drabina do nieba. — U bram Watykanu.

Niańka kazała mi się bać strachów, nauczycielka czytywała następnie rozmaite przerażające legendy — więc się bałem umarłych, duchów, nietoperzów, puszców, wilkołaków, a między innymi także „upiora z Upity.“ Nauczycielka opowiadała, że to był człowiek okropny. Zerwawszy sejm i dawszy przykład późniejszym tego rodzaju zbrodniom, uciekł z Warszawy przed ogólną wzdargą, ale nie uciekł przed karą bożą. Wkrótce bowiem dom jego zapadł się w ziemię, ojciec matka i siostra zmarli ugodzeni piorunem, wreszcie on sam zginął od gromu. Ciało jego siedm razy ziemia wyrzucała a duch włóczy się dotąd po Polsce. Do dziś w kościółku Upity stoi upiór nagi, żółty, z rękami na krzyż złożonemi, z pochyloną głową. Naturalnie po takiej lekcji, po której przez trzy noce oka zmrużyć nie mogłem, przysięgałem sobie raczej wszystko popelnić, niż zerwać jakikolwiek sejm, niż sprzeciwić się głosowi ogólnemu. Piękna rzecz zginąć od pioruna wraz z całą rodziną, być z ziemi siedm razy wyrzucanym, straszyć ludzi i pokutować jako upiór w kościółku! Nigdy! Dziecięcy ten ślub wzmocniły szkolne wykłady historii, z których dowiedziałem się, że naśladowcy posła upickiego byli zawsze potępiani, a czasem zarabcywani i że oni to właśnie zgubili Polskę. Ale czego drapieżna myśl ludzka z serca nie wydrze!

<sup>1)</sup> Obszerny wyciąg z jego dzieła, wraz z uwagami K. Vogta, podał *Nowiny* w Nr. 342 z r. 1880.

<sup>1)</sup> *Auch ein Wort über unser Judenthum*, Berlin, Weidmann.



Wydarła też i mnie po mału moja przyszłość. Poznawszy bliżej dzieje nasze, przekonałem się ku wielkiemu mojemu zdumieniu, że Siciński, jego siostra, matka i ojciec skończyli żywot bardzo spokojnie; że nie on pierwszy sejm zerwał i że wprawdzie rąbano później „niepozwalających“, ale tylko takich, którzy nosili przy boku dla obrony jedną karabelę i nie mieli za sobą ich setki. Kto bodaj raz ukąsił jabłko z drzewa wiadomości złego, ten pójdzie dalej drogą pierwotnego grzechu i coraz inne zakazane owoce pożywać będzie. I ja więc, przestąpiwszy przykazanie legendy: czemu piorun nie zabił a ziemia nie wyrzuciła owego magnata, który na 30 lat przed Sicińskim sejm zerwał? czemu możnych słuchano pokornie, gdy krzyczeli: „nie pozwalam“, a chudym pacholom zatykano pięścią usta? Słowem, czemu—jak powiada Bobrzyński—„urazony w swej ambicji magnat lub nawet jawny swego kraju zdrajca, jeśli się umiał zręcznie płaszczyć stróża wolności osłonić, jeśli liczną miał klientelę, znajdował zawsze miłąkcie umysły, które za nim stały i do zburzenia każdej lepszej myśli mu dopomagały“, a czemu szlachcie ze zwykłej gliny musiał za toż samo dzwigać brzemień hańby? Pytania te powiodły mnie do dwu, wyznaje, zdrożnych wniosków: 1) że poseł upiśki nie był gorszym od innych, których upiory w kościołkach nie pokutują i 2) że „żrenica wolności“ nie była może tak ślepą, jak mniemają niezliczeni operatorowie historyczni, którzy zdejmują z niej kataraktę. Bo zapomniawszy o rozpasanych lub służalczych przedstawicielach tej „złotej wolności, która—według słów wspomnianego dziejopisa—nienawidziła każdego, kto czy charakterem swoim, czy rozumem, czy nową myślą po nad tłumy wznieść się ośmielił“ i która „przechodząc strychulem całe społeczeństwo, wyciskała na niem rozpaczliwe piętno duchowej równości“, zapomniawszy—mówię—o tych rycerzach dobrego stołu, rozważmy o co szło w zasadzie? O to, ażeby każdy obywatel kraju posiadał prawo nieuznawania woli większości lub nawet ogółu. Jeśli tak, to dziwiąc się wraz z innymi naiwnemu parlamentarystom naszym przodków, który skrzywiwszy ową zasadę, pozwolił jednostce unięzwadzać wolę ogółu nie tylko dla niej samej, ale dla wszystkich, sądzę jednocześnie, że po najdłuższych walkach i postępkach, pozbywszy się ciemnoty, fanatyzmu, przedajności, samolubstwa jednostek, ludzkość dojdzie do *liberum veto*. Gdyby Siciński nie był stargał obrad sejmowych, tylko się z nich wyłączał i opatrzył je swoim protestem, byłby twórcą najwyższej społecznej zasady i najznakomitszym obywatelem w Polsce, tak jak nim został w 120 lat później jego współziomek. Nie lepszego, wyższego, słuszniejszego nad tę zasadę ród ludzki nie zdobędzie, a zdobywa ją ciągle. Bo czemuż są ostatnie mowy katolickich posłów w parlamencie niemieckim, którzy otwarcie głoszą, że nie uznają tak zwanych a przeciw nim wymierzonych ustaw majowych? Wprawdzie oświadczenie ich nie zrywa sejmu i nie obowiązuje ogółu: ale czyż ono nie jest wskrzeszeniem, szlachetniejszym, bo nie wicherząc *liberum veto*? Niedawno w Toruniu na placu, wśród musztrujących się rekrutów, zauważyłem młodego chłopca, którego feldfelb kilkakrotnie szturgnął pod brodę kulą: chłopiec, widocznie wzburzony, uległ karności wojskowej, ale twarz jego wyrażała energiczne *liberum veto*. Innego razu byłem świadkiem oburzenia pewnego nauczelnika, który poważnego obywatela za odmówienie mu w przejeździe powozu nazwał *bydłociem*. Obywatel zniósł cierpliwie tę naganę, ale zaiskrzono jego oczy mówiły *liberum veto*. Zresztą, czyż wśród nas samych nie odzywa się śmiało ten głos, ile razy go, jak dawniej, osłania—no, nie sze-

reg karabel—ale szereg lokajów? Stańczycy krzyczą, ciągle „nie pozwalam“, a hr. Lisiecki śmieje się niż wszyscy Sicińscy zerwał jednomyślną uchwałę naszej polityki, chociaż ani go piorun wraz z rodzicami i siostrą nie zabił, ani mu ziemia pałacu nie pochłonięła, a jeśli kiedy stanie w kościółku krakowskim, to chyba po to, żeby ks. Golia odprawił nabożeństwo przed jego relikwiami. Za daleko niewinniejszy protest niedawno jeszcze zwykłemu szlachcicowi A. Walewskiemu wybito w Krakowie szyby i zmuszono go do czuwania po nocach z nabita dubeltówka; tymczasem hr. Lisiecki zupełnie bezpiecznie robi coraz nowe wydania swej „trzeźwej“ pracy i nawet żadna dama nie powie mu przy spotkaniu: a fe, hrabio! Czyż więc i dziś, jak kiedyś, co wolno... Jowiszowi, tego nie wolno wołowi? Czy prawo jest brylantową spinaką, którą tylko pan przy atlasowym żupanie, nie zaś chłop przy kapocie nosić może? Czy—jak powiada Voltaire—jedni rzeczywiście przychodzą na świat z ostrogami u nóg, drudzy z siódlami na grzbietach? Zarówno księga rodzaju religii jak i księga natury nie mówią nic a nie o odmiennych gatunkach materiału, z którego urobieni zostali różni ludzie; zarówno przyroda jak i Bóg nie stworzyli z prostej gliny jednych a z pianki drugich. Nadto, ponieważ we wszechświecie nie ginie, każdy więc z nas może być pewnym, że najstarszy jego głos nie przepadnie, chociażby przed nim wszyscy uszy swoje zatkali. Czy to was nie napelnia dumą? Mnie—wielką. Jestem przekonany, że każde moje, jak i wasze technienie staje się przyczyną szeregu skutków w naturze; a kto wie, czy ono w odległym następstwie swego wpływu wspólnie z innymi czynnikami nie spędza chmur z nieba lub nie topi okrętów w morzu. A jeżeli potężne wichry nie odbierają prawa wydobywania się lekkim oddechem, to dla czegożby potężni ludzie mieli pozbawiać małych możliwości objawiania swych myśli? Gdybym był ziarnkiem piasku, leżącym u stóp piramidy i posiadał uczucie swego odrębnego istnienia, nie rzekłbym się go dla tego, że ona jest wielką a ja małym.

To też gdyby nawet 9,999,999 ludzi pozwoliło jakąś jednomyślną uchwałę, która by się sprzeciwiała tylko jednemu mojemu przekonaniu, nie narzucając go nikomu, nie wahałbym się jednocześnie w własnym imieniu przeciwko niej zaprotestować. Ale nie lekajcie się, czytelnicy; nie będziecie świadkami walki *Hercules contra plures*. Walkę taką w całej historii udało się podjąć i wygrać zaledwie kilku największym geniuszom, którym ja myślę jedynie... rozwiązywać u nóg rzemyki. Co najwyżej więc patrzeć będziecie na starcia odmiennych zasad, odmiennych żywiołów, odmiennych szeregów, w których służę, jako prosty żołnierz. Główni wodzowie tej wielkiej tysiącletniej bitwy, toczącej się na całym obszarze cywilizowanego świata, w której i nasze pułki literackie udział przyjęły—stoją na wyżynach, ogarniają wzrokiem ruchy obu zapasniczych stron, wydają rozkazy i hasła. Gdy z omdlałych rąk wypuści buławę Kopernik, podejmują ją i dalej hetmani postępowym rotom Kepler, Newton, Voltaire, Mill lub Darwin. Choć kierują z daleka i do nas sięga ich komenda. Inaczej mówiąc, dzieje myśli ludzkiej są odmienną partią szachów, rozegrywaną przez Ormuzda i Arimana, ducha białego i czarnego, my zaś w niej, stosownie do uzdolnień, rozmaitemi figurami. Zwyczajstwo przechyla się kolejno na jedną lub drugą stronę, giną pojedyncze figury, okupując swą ofiarą powodzenie innych, rezultat jeszcze daleki, ale zdaje się, jak gdyby nad tą nieskończoną partią błyszczał radośny napis: *białe* zaczynają i dają *mat czarnym*. W ilu posunięciach? Nikt nie obliczy; to tylko pewna, że obecnie

czarne dostały na wielu polach jednocześnie bardzo niebezpieczny szach.

Na tychracyach, na tej podstawie, wbrew radom piastunek i nauczycielek, opieram śmiało moje *liberum veto*!

Przeciw czemu?

Przeciw bezprawiu, przeciw nieprawdzie, oraz całemu ich niezliczonemu potomstwu.

Komu los nie pozwolił być prawodawcą, temu nie pozostaje nic innego, jak być prawobiercą. Może to dziwne, ja jednak na wszelkie ustawy zapatruję się tak, jak gospodarz na ziemię. Uprawia ją i obsiewa; nie rodzi zboża, to sadi na niej wierzby; mokra, to przerzyna ją rowami; sucha, to ją nawadnia; zachwaszczona, to piele—słowem wyciąga z niej niemilościennie wszystko, co tylko mu wydać może. Gdyby wiedział, że zorana, zmęczona rodzic będzie dukaty, siałby dukaty. Wytrwała praca jałowe piaski zamienia na warzywne ogrody; czemużby ona nie miała najlichszego prawa przerobić na dobre? Nie ma na ziemi rzeczy bezużytecznej. I w morzu Martwem, gdzie żadna ryba żaden płaz utrzymać się nie zdoła, jest—sól. Na zgniłym torfowisku rośnie brzoza, karłowata, cienka, ale rośnie. Idzie więc tylko o to, ażeby mojego pola nikt nie niszczył i moich drzew nie wycinał. A jeśli niszczy, wycina, wtedy ja myślę, czy słowem zakładam... *liberum veto*. Gdyby kto zaczął w moim stawie łowić ryby a w moim lesie strzelać sarny, to ja korzystając z prawa swobody od dziesięcin na czyjąś korzyść, powiadam wyraźnie: „nie pozwalam.“ Gdy pan nauczyciel zechce mi uderzyć dziecko w szkole to ja również „nie pozwalam.“ Każde prawo jest moją „żrenicą wolności“, której wylupić sobie nie dam.

Podobny użytek robię z mojego *liberum veto* w sprawach domowych. Śród większości naszych czasopism panuje głębokie przekonanie, że w nich nie powinny się odzywać głosy solowe, lecz chóry i to chóry śpiewające *unisono*. Różnić się mamy tylko brzmieniem naszych gardel; można z nich wydobywać basy, barytony, tenory, alty, sopran, ale, broń Boże, odmienne melodye. Prasa nasza rozumie jedynie *harmonię*, ale nie wzniosła się jeszcze do pojmowania *kontrapunktu*, który jej się wydaje rozdzwiękiem. Jak to można—pyta ona—ażeby Piotr śpiewał co innego a Paweł co innego, i ażeby z tych sprzeczności splotła się całość zgodna? Ponieważ wierzę, iż to jest zupełnie możliwem, ponieważ jestem wyznawcą kontrapunktu w dziennikarstwie, więc, niezależnie od prawideł prawomyslniej harmonii, zanucę sobie czasem odrębne *solo*.

Jednym z jej warunków jest bałwochwalstwo dla siebie i pokazywanie języka całemu ucywilizowanemu światu. Najprzyjemniej dla naszego ucha brzmi pieśń, wyśławiająca naszą wielkość i poniżającą małość Niemców, Anglików, Amerykanów, Francuzów, Włochów itd. Pierwsi nie mają dostatecznej wiary, drudzy uczucia, inni wyższych upodobań, inni nakoniec moralności. Wcieleniem wszystkich cnot jesteśmy, według tej teorii, tylko my. Jeżeli jaki Weinstok z Dusseldorfu, wspominając o naszej Bochoćnicy, pomieści ją w powiecie olkuskim, natychmiast wybuchamy gwałtownym śmiechem i drwimy z niemieckiego „nieuctwa“, ale gdy który z naszych profesorujących badaczy nie wie, co Niemcy przez ostatnie pół wieku w jego nauce zrobili, gdy który z naszych zasłużonych nie wie, że Liffandya jest tem samem, co Infanty, to nie a nie nie szkodzi. My bowiem, jako lud wybrany, odbieramy naszą wiedzę za pośrednictwem natchnień prosto z nieba. Niebo to wyobrażamy sobie jako wielki strych, który wprawdzie wznosi się nad całym światem ale otwór do niego przebity nad naszą jedynie ziemią.



i my też głównie mamy na tej górze prawo suszyć swoją bieliznę. Posiadając zaś taki przywilej, oparliśmy na nim swoją polityczną, społeczną i umysłową karierę. Nie zginiemy, bo... spimy i śni nam się, że od nas do nieba wznosi się jakobowa drabina, po której aniołowie zniosą nam szczęście; nie zginiemy, bo gdy zadzwonimy u bram Watykanu, zawsze wyjdzie kardynał Ledóchowski, spojrzy na nasze ręce, jeśli pełne, odbierze świętopietrze i pobłogosławi; jeśli puste, powie, że Ojciec drzemie, i zamknie drzwi przed nosem. Mamyż wiecznie wędrować po te błogosławieństwa i odpusty z napchaną kobiątką?

*Liberum veto!* Veto przeciwko niewolnictwu myśli, samochwalstwu, poniżaniu innych, bładze, kłamstwu, obłudzie, ultramontanizmowi i innym cnotom „podwójnej buchalterii“ duchowej. Niech będzie pochwalona swoboda przekonań, sprawiedliwość, nauka, i tolerancja i prawda.

Złożywszy, wam czytelnicy, ten list uwierzytelniający, obejmuję mój urząd jako

*Posel prawdy.*

## PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

W dziale tym podawać będziemy krótkie sprawozdania i oceny nowych prac, bądź na niwie naukowej, bądź w dziedzinie poezji, o ile one nie wymagają szczegółowszego i obszerniejszego rozbioru. Korzystając jedynie ze współpracownictwa ludzkiego umysłowo poważnych, spodziewamy się osiągnąć nie tylko możliwą gruntowość, lecz i stronność krytycznych sądów. Zasadą, przyjaciele, mi jest Plato, ale większą przyjaciółką *prawda*, która przenika nasze pismo, i w tej jego części nie oszczędza swej siły. Błąd nasz może być tylko umiarkowanym, nigdy umyślnym. Zamiast głoś publicznie, zapomnimy o przyjacielach i nieprzyjaciółach, albo raczej pamiętać będziemy o jedynych przyjacielach naszych, czytelnikach, którym zobowiązaliśmy się służyć prawdą naszego szczerzego przekonania.

**Wojna Chocimska, Merkuryusz nowy, Pełna, Peryody. Poświęcenie Sylweta, Wety parnaskie**—Wacława Potockiego, (Biblioteka najcenniejszych utworów), Warszawa, 1880.

**Wojna Chocimska**, mimo, że liczy już dwa stulecia, ukazuje się w druku dopiero po raz drugi.

Sam autor, trzymając się zasady:

Kto nie uważa na blask idzie z cienia,  
Znieść słonecznego nieraz nie może promienia.

i tając własne swoje autorstwo, nie ogłosił jej za życia. Dopiero w r. 1850 S. Przyłęcki, pobudzony przez J. Borkowskiego, wydał ją pod imieniem Andrzeja Lipskiego. Dopiero K. Szajnocha wykrył właściwe nazwisko autora. Oprócz niego, K. Mecherzyński, L. Nabelak, A. Bełcikowski i A. Tyszyński pomieścili w różnych czasopiśmiech obszerne studia zarówno nad tym poematem, jak i nad całą działalnością Potockiego.

**Merkuryusz Nowy** (wydrukowany po raz pierwszy w r. 1843, powtórzony w r. 1865) i **Pełna** (wyd. pierw. 1678, później 1845) są również poematami historycznymi, opiewającymi bohaterskie czyny Jana III.

**Peryody**—to *treny* poety na śmierć syna Stefana. Za wzór służył tu widocznie Kochanowski, chociaż nie natchnął swego naśladowcy równą głębokością uczucia. Brak

jej stara się Potocki wynagrodzić szumnym chrzęstem poetycznych skrzydeł, w których tkwią dość obficie mitologiczne pióra. Różnica ta jest nie tylko różnicą stopnia uzdolnień dwu nierównych miary pisarzy, ale nadto właściwością autora *Wojny Chocimskiej* i nastroju jego epoki. Są wszakże ustępy w wyrażeniu swem bardzo silne, jak np.:

Pisać czy płakać będę, czy oboje razem,  
Nieznane fraszki zmieszany obrazem?  
Płakać oko a serce wielkość mojej szkody  
Pisać każe...

Trudno patrzeć, komu śmierć żrenice wytoczy,  
Nic nie widzę przed sobą tylko grób i mary.  
Próżno mi przyjaciele kładą okulary  
Świeckich pociech...

**Peryody** ogłosiła w znacznej części *Biblioteka Ossolińskich* (1864—5); do 14 jednak tam pomieszczonych dodano z rękopisu 4, tak że całość ukazuje się po raz pierwszy.

Do większej uwagi niż powyższe, przeważnie znane i przez wspomnianych badaczy oceniane utwory Potockiego (wraz z krótkim *Poświęceniem Sylweta*), zobowiązuje nas ostatnia grupa wierszy drobnych p. t. *Wety parnaskie*. Oprócz dwudziestu ogłoszonych poprzednio, bądź w *Jovialitates* (1747) bądź w *Bibliotece Ossolińskich* (1865), daleko liczniejsza reszta występuje w druku po raz pierwszy. Przedmiotem tych krótkich, ostrych wierszyków są rozmaite stany, śmieśności, nadużycia oraz zabawne wypadki. Trudno rzec, ażeby one były wszystkie dowcipne; owszem często — mówiąc słowami samego poety — „koniec niski, wysoki początek.“ Przytem nadmiar archaizmów i zawiloseń składni utrudniają albo nawet uniemożliwiają wydobyć myśli, zwłaszcza, gdy ją autor w krótkich formach wiersza posieka (np. *Ateistowie, Turcy* i t. d.). Ze szczególnym upodobaniem kole Potocki swym sarkazmem księży i wtedy, przynajmniej, humor tryska mu z pod pióra najwesejszy. Przekona o tem kilka próbek, a naprzód *Kazanie wielkopostne*.

Pil pleban w wielki czwartek z wikarym do świtu,  
Więc gdy wedle starego na ambonę kwitu  
Iść przyszło, rzecze pleban: „mój księżu wikary,  
Żal mi Pana Jezusa bez końca, bez miary.  
Że słowa rzec nie mogę; proszę miły panie,  
Chciejcie za mnie powiedzieć tak smutne kazanie.“  
Ten też gdy głowę studzi gorzalczanym dymem:  
I mnie-c go żal i mnie-c był pewnie nie ojczymem.  
Tak nie powiedziaławszy, obadwa przed żalem  
Poszli spać do komory miasto Jeruzalem.

Nie mniej dowcipnym a w odniesieniu do swej epoki godnym podznaczenia jest inny wierszyk *Do ojców Societatis*, gdzie autor, mówiąc o wymuszaniu wiary mieczem, dodaje:

Tylko zaś nie wiem, jako przywieść to do pary.  
Gdy pismo wiarę liczy między boże dary.  
Przymuszać kogo, żeby wziął, czego nie może,  
Zda się, że taki człowiek wpada w słowo Boże.  
I wierze, szkoda by się ludziom o to kusić,  
Gdy co Bóg z łaski daje, cielek w cielek chce wmusić.

Reformatom bosym znowu radzi poeta:

..... że usta raczej trzeba z głową,  
Niżeli nogi nosić modą Chrystusową.

Dowcipną daje Potocki odpowiedź na pytanie: *Czemu księża łakomi?*

Każdy się z nas uskarża, każdy się z nas dziwi,  
Że tak barzo łakomi księża i tak chciwi.  
Póki klerykiem to nie, jak wniździe do cechu,  
I żywych i umarłych drze pleban do zdechu.  
Aż ja widzę w Krakowie przy tej ceremonii,  
Gdy biskup, święcąc kszędza, smaruje mu dloni.  
Czemuż nie głowę?..

Lepiej mu było głowę niż ręce namazać,  
Pilniej niż groszów chwytać, uczyłby się kazać.

Z tych przytoczeń można odtworzyć sobie humor rozlany w *Wetach*. Przypisać musimy, że jest on niepodleglejszym, chociaż o dwa wieki od naszego starszym. Gdyby kto dziś pozwolił sobie tak bez

skrupułu ośmieszać księży, zapisano by na jego sumieniu wszystkie zdrady i zbrodnie. Ale przodkowie nasi nie rozdawali nikomu przywileju na nietykalność, ich satyra miała w swej dyscyplinie tyle rzymików, ile było śmieszności. Pod tym względem dorastamy im zaledwie do kostek.

Redakcja *Biblioteki najcenniejszych utworów* objasnia w przypisku, że nie mogła wydrukować wszystkich *wetów* z powodu „zbyt sliskiej ich treści.“ Czy treści? Zdaje nam się, że usprawiedliwienie to zbyt... sliskie. Jeśli idzie o treść, nie nieprzyzwoitszego odręcznego wiersze nie mogły zawierać od takich pomieszczonych w zbiorze, jak: *Na damy, Niepłodne, Białogłowska chciwość* i t. p. Chyba więc na przeszkodzie stanęła *forma*. Co do samej zasady cenzurowania starych rękopisów w druku, to jakkolwiek odczuwamy wszystkie względy, nakazujące popularnemu wydawnictwu pewną ogledność w wyborze, żałujemy jednocześnie, że pewna część płodów myśli naszej, dostarczająca wymownych świadectw moralności lub smaku czasów minionych, pozostaje ciągle w ukryciu archiwalnym.

Niezależnie od tej uwagi za wydanie nieznanych pism Potockiego a nawet za powtórzenie już ogłoszonych należy się redakcji *Biblioteki najcenniejszych utworów* szczerze i zasłużone uznanie. Wyrażamy je zaś tem bardziej, że dotąd, o ile nam wiadomo, ani jedno pismo nie dostrzegło lub nie wspomniało, że w Warszawie wydrukowano po raz pierwszy poezje koryfeusza XVII w. Gdyby Wacław Potocki żył między nami, był reporterem i „zamierzył“ coś napisać, niezawodnie byśmy o tem na drugi dzień się dowiedzieli. K.

**Historia Filozofii** Fr. A. Langego w przekładzie A. Świętochowskiego, Warszawa, 1881—zeszyt 1 i 2.

Trwale i rzetelnie zasłużył się ogółowi naszemu wydawca (B. Lesman), podjąwszy w polskim przekładzie kosztowne wydanie tego obszernego i nieocenionego dzieła. Podobne przedsięwzięcie u nas wymaga zaiste wszelkiego rozbratu ze spekulacją, u nas, gdzie niechęć do książek poważnych, nienamagnesowanych interesem chwili lub niewonienających prawomysłnością jest tak wrodzona ogółowi i tak pielęgnowana przez jego piastunów. Wypuszczone dotąd zeszyty obejmują dwa wielkie okresy filozofii: starożytną i tak zwaną przez autora epokę przejściową. Ponieważ Lange zajmuje się głównie dziejami materjalizmu i kierunków mu przyległych, znajdujemy więc tu naprzód obraz starszej atomistyki a szczególnie systematu Demokrita, dalej sensualizm Sofistów i etykę Aristippa, reakcję przeciwko materjalizmowi i sensualizmowi w osobach Sokratesa, Platona i Aristotelesa, teorię Epikura oraz zawarcie poematu Lukrecjusza. Okres drugi mieści w sobie rozbiór i historię stosunku wierzeń monoteistycznych do materjalizmu (averroizm i mahometanizm), scholastykę oraz związane z nią pojęcia aristotelesowskie o materji i formie, (nominalizm i realizm), wreszcie zmartwychwstanie poglądów materjalistycznych z odrodzeniem się nauk (Pomponacyusz, Nicolaus de Autricuria, L. Valla, Kopernik, G. Bruno, Baco, Descartes). Dzieło Langego nosi w oryginalnym tytule: *Geschichte des Materialismus*; tłumacz nazwał je *Historią Filozofii* dla tego, że ono, jakkolwiek w nierównej mierze, ogarnia całe dzieje myśli filozoficznej i na ich dopiero tle kresli szczegółowo rozwój materjalizmu; dla tego wreszcie, że zarówno sam autor jak i jego niemieccy krytycy do takiej zamiany nagłówek upoważnili. Nie potwierdziło jej przecież kilku naszych sprawozdawców, z których jedni dostrzegli potrzebę na bogobojnych czytelników, a drudzy, oparci na 96 stronicach pierwszego zeszytu, zawyrokowali, że w 1,000 owych stronic znajduje się tylko materjalizm. Już wszakże drugi zeszyt, poświęcony w znacznej części Aristotelesowi



wi, powinienby ukoić zał przynajmniej tych, co się upominali za pokrzywdzonym Stagirita. Z drugiej strony przyznać trzeba, że z paru pism odezwaly się sądy życziwe i poważne, jak gdyby pamiętające o końcowych słowach Langeo: „Szczęśliwe natury utrafiąją porę; myślący jednak spozostzegacz nie powinien nigdy milczeć, chociaż wie, że go w tej chwili niewielu słuchać będzie.“

Ocena przekładu, który pasować się musi zarówno z filozoficznym bogactwem mowy niemieckiej jak i ubóstwem naszej—nie do nas należy. Napotykanie trudności pojmą należycie ci, którzy je kiedykolwiek próbowali pokonać.

**Zarys rozwoju wiedzy o ziemi** na tle historii odkryć geograficznych skreślił Dr. Franciszek Czerny, Warszawa 1881.

Nie w szkarłat i złoto przystrojona, a jednak świątecznej szaty gwiazdkowej godna książeczka, która nakładem redakcyi *Wędrowca* weszła bardzo skromnie do popularnej literatury naszej. Opowiada ona w ogólnych rysach historię badań geograficznych, poczynając od najdawniejszych podróży ludów wschodnich, aż do najświeższych wypraw europejskich. Autor, pając nad przedmiotem, przedstawia nadzwyczaj umiejętnie główne postępy wiedzy o ziemi, kreśli treściwie ważniejsze odkrycia i wiąże je w doskonale zwartą całość. To też praca jego mogłaby z wielkim pożytkiem z bogacić każdą bibliotekę gimnazjalną a nawet studencką, zwłaszcza, że nie poprzestając na samej historii przedmiotu, przedstawia naczelne jego zagadnienia w teraźniejszości — że tak powiemy—porządek dzienny geografii.

Niezmiernie ważną zaletą tej książeczki jest czysty i bardzo staranny język. Tem nieprzyjemniej na tle poprawnym uderzają jego nieliczne wprawdzie, ale rzeczywiste usterki, jak np. „wątpić w rzetelność relacyi,“ „nie spotkał *jak tylko* dwie maleńkie wysepki“ i t. p.

**Wiara Słowian**, z obrzędów, klechd, pieśni ludu, guseł, kronik i mowy słowiańskiej, wskrzeszona. Napisał Romuald Świerzbicki Kand. Pr., Dr. Med. Warszawa, 1880, w 8-ce w. str. 42.

Do nieśmiertelnych imion Wolańskiego i Czarkowskiego przybywa nazwisko autora książki, której powyżej tytuł wypisaliśmy. I jakiej książki! Wyobraźmy sobie pewną ilość zrozumiałych i niezrozumiałych wyrazów, zmieszanych w sposób dowolny, a potem zapisanych na ciepłym papierze: tak powstają podobne ramoty. Ze są ludzie, którzy je piszą, temu się nie dziwimy, pomni na wspomnianą własność papieru; ale, że odważają się pisać drukować, to już przechodzi granice teoryi logicznego prawdopodobieństwa.

Pan S. zapowiedział „wskrzeszenie“ wiary Słowian na podstawie ich mowy; zapowiedź szumna; ale cóż, kiedy o wiaroznawstwie i językoznawstwie słowiańskim w nowszym stopniu rozwoju nie posiada on najmniejszego wyobrażenia; a cokolwiek zdaje mu się, że wie o tych dwóch naukach, to wie zupełnie nie do końca. Praca jego w ogóle podpada pod kategorię objawów psychiatrycznych, a szkodliwa jest, bo sieje fałsz, upozorowane tonem wyroczni.

Wehodzić w polemikę, obalać jedno po drugim twierdzenie pana S., żaden człowiek przy zdrowych zmysłach się nie podejmie. *Guarda e passa!*

Dla ubawienia czytelników, oto wyjątek z książeczki (str. 14), a po nim nieco wyrazów i słoworodów autora (przecinkowanie oryginału zostawiamy nietkniętem).

„Z powyższych danych wysnuwamy taki wniosek:

Stwórcę i kierownika świata nazywali słowianie Rokiem. Cały obszar ich ziemi

dzielił się na soroki. Każdy sorok składał się ze czterdziestu wsi; i był okrażony (tak!) miedzą; której kopiec węglowy służył za uroczysko. Przy każdym uroczysku było dwanaście cudnych dzieł, czterech guślarzy i otrocy. Każden z guślarzy miał nadzór nad czwartą częścią soroka. Na uroczysku, okrom tych służebników, chowano istoty służące do gadania (*gady*); między którymi znajdowały się sroki, *sroki*. Ich skrzeczenie...“ i t. d. i t. d.

Doprawdy, zdaje się, że autor za wiele podsłuchiwał „ich skrzeczenia...“

Czy się godzi nie wiedzieć dzisiaj, od czego pochodzi wyraz *sorok* w znaczeniu czterdzięci? Czy wolno twierdzić, że słowa, brzmiącego po rosyjsku *srok*, po polsku niema? Czy przywoicie jest *dowód* i *wywód* wyprowadzać od *wod*, *gęś* od *gesi*, *trok* od *rok*, *czystość* od *uroczystość*? Czy przystoi pisać *księdzy*, *księdzów*, *poszanę*, *przezięstoje* i t. p?

Niedawno profesor Jagicz użalał się, iż kraj nasz obdarza nie dość rzadko literaturę słowiańską „Mohikanami.“ Niestety, skarga to uzasadniona wobec takiego objawu, jak „Wiara Słowian“ pana S...

Miejmy nadzieję, że szanowny autor będzie „ostatnim Mohikanem.“

Jan Kartowicz.

## NAUKOWE WYNIKI POSTU TANNERA.

Historia czterdziestodniowego postu Tannera przebrzmiała jako legenda, dostarczająca strawy dziennikarskim kaczkom, które tak obficie lęgły się w prasie amerykańskiej i przepływają do europejskiej—ale nie przebrzmiała jako naukowe doświadczenie. Gdy już plotki nagadały się do syta, wystąpili uczeni i odgarnawszy chwast humbugów, pokazują nam prawdę. W jednym z najpoważniejszych pism medycznych, w *Wiener Medicinische Monatsschrift* znany lekarz nowojorski Dr. G. W. Nachel złożył urzędowe sprawozdanie o głodzie Tannera, nad którym, jak zapewnia, czuwało liczne grono sumiennych specjalistów. Ze sprawozdania tego powtórzymy główne wyniki.

A naprzód kilka wiarogodnych szczegółów z życia bohatera.

Dr. Tanner jest Anglikiem, urodzonym w Turnbridge-Wells, w hrabstwie Kent. W roku 1848, mając lat 17, wyjechał do Ameryki. Początkowo pracował u stelmacha w stanie Ohio, ale czując gwałtowną chęć do medycyny, wstąpił na kursa lekarskie i skończył je w Cincinnati. Podczas wojny o wyzwolenie murzynów służył w armii jako prosty żołnierz, a następnie będąc lekarzem, praktykował kolejno w rozmaitych miastach. Zajmował się głównie chorobami organów trawienia, w odczytach zalecał umiarkowany sposób życia i wykazywał korzystny wpływ kilkodniowego postu na organizm. Jeżeli doznawał jakiegokolwiek zaburzeń w trawieniu, nie jadł przez 5 do 12 dni i taką głodową kuracją zmuszał swój żołądek do posłuszeństwa; nie zaniedbywał przytem praktyki, robiąc dziennie po 9—10 mil angielskich pieszo. 18 lipca 1877 roku rozpoczął swój pierwszy wielki post i wytrzymał wtedy—jak twierdzi—42 dni bez żadnego pożywienia, pijąc tylko wodę. Publiczne powątpiewania o rzetelności tej próby dotknęły go boleśnie. Ogłosił więc, iż gotów jest ją powtórzyć z warunkiem, że wątpięcy złożyć 5,000 dolarów. Zakładu tego jednak nie przyjął. Gdy później rozeszła się pogłoska w dziennikach amerykańskich, że panna Molie-Faucher wytrzymała dwa tygodnie bez wszelkiego poży-

wienia, nie utraciwszy sił. Dr. Hammond, prezydujący w Neurologicznem Towarzystwie w New-Yorku, zaproponował, aby zechciała poddać się podobnemu lecz czterdziestodniowemu doświadczeniu za nagrodą tysiąca dolarów. Wtedy Tanner objawił gotowość zastąpienia jej, ale ponieważ nie chciał pościć w domu Hammonda, ten więc nie zgodził się, uważając go za oszusta. Tanner oświadczył, że podda się próbie w Kollegium medycznem Stanów Zjednoczonych, pod kontrolą przeznaczonych ku temu lekarzy. Główny nadzór miał być powierzony Dr. Gunnowi rektorowi tego zakładu a przydani mu wykładowcy profesorowie. Przed rozpoczęciem doświadczenia, Tannera dokładnie zbadano. Miara piersi wynosiła 40 cali, bioder 39, wzrost 5 stóp i 3 cale, waga ciała 157½ funtów, pod skórą był znaczny zapas tłuszczu. Puls od 84 do 96, przeciętny 88. Temperatura 99 stopni Fahrenheita = 37 Cels. Post rozpoczął się 28 czerwca o 12 godzinie, tak, że przypadał w czasie największych upałów. Tanner pił w ciągu pierwszych 16 dni tylko raz dziennie, po 4 uncje (120 grammów) wody. Później, w miarę pragnienia, pijał najwięcej 77, najmniej 8 uncji, razem wypił 667 uncji, czyli 20 litrów. W pierwszym tygodniu chodził codziennie przez pół godziny po parku. Od 25-go dnia zaczął doznawać mdłości i wymiotów, oraz silniejszego wydzielania żółci skutkiem podrażnienia, spowodowanego twierdzeniem lekarza, że jeden z posługaczy dawał mu pożywienie. Poczynając od tego czasu, Tanner coraz bardziej tracił siły i dopiero gdy zdecydował się pić wodę nasyconą kwasem węglanym, zdołał bez niebezpieczeństwa dokończyć postu. Z wyjątkiem silnej drażliwości przy końcu próby, przez cały czas objawiał najlepszy humor. Stan umysłu był również prawie normalnym i tylko pamięć nieznacznie osłabiona. Sprawozdanie lekarskie podaje dokładną tabelę pulsu i oddychania, jakoteż rozbiór moczu. Najgodniejszym uwagi jest to, że w ciągu całych 40 dni i jeszcze 22 godzin po skończeniu postu, Tanner nie miał żadnych wypróżnień co stanowi najlepszy dowód, że w istocie nie jadł. Waga wynosiła z początku (28 czerwca) 157½ funtów, ku końcowi postu (7 sierpnia) 121½ funta, stracił więc na wadze 36 funtów. Dowodzi to, że ludzki organizm w pewnych warunkach może żyć przez dni 40, zużywając jedynie 40½ funtów wody i 36 funtów własnego ciała. Stratę wagi Tanner odzyskał nadszycząc szybko. Z początku żywił się wyłącznie kawonami i pokarmami roślinnymi. Jakkolwiek lekarze byli temu przeciwni, oświadczył, że taką dietę uważa za najwłaściwszą, gdyż i poprzednio po dokonanych poście posłużyła mu ona wybornie. Po ośmiu dniach zdołał wynagrodzić poniesioną stratę na wadze i dopiero powoli zaczęła używać mięsa i wina.

Wynik więc doświadczenia Tannera powinien być przykładem dla chorych, którym przepisano wstrzymanie się od pokarmów, oraz dla tych, którzy bądź skutkiem rozbicia się okrętu, bądź z innych powodów, są wystawieni na dłuższy głód. Wynik ten pozwala wnioskować, że obawa szybkiej śmierci daleko niekorzystniejszy wpływ wywiera i bardziej rujnuje siły od doznawanego głodu.

Co do osoby ekseperimentatora, na podstawie tego wiarogodnego świadectwa przyznać trzeba, że nie jest on bynajmniej wyrafinowanym oszustem, ani nawet goniącym za oryginalnością blagierem—jak ku wielkiej wierze tłumu głosiły obce a za nami nasze gazety—lecz co najmniej sumiennym i naukowym maniakiem, który postanowił świat nawrócić do swego przekonania a przy tej sposobności rozświetlił częściowo ważną zagadkę.

Dr. P. M.



## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pomimo ciągłej chwiejności, która od daty słynnego berlińskiego traktatu jest najwybitniejszą cechą położenia politycznego Europy, rzecz można, że dawno struna nie była tak naciągnięta, jak w teraźniejszej chwili noworocznego przełomu. Pożornie panuje cisza; sprawozdawcy codzienni bywają nawet w kłopotach, z powodu braku interesujących wiadomości. Stan ten jednakże objaśnia się tylko tym faktem, że mózg dyplomacyi wyczerpał się już do ostatnich możliwych granic w wynajdywaniu tymczasowych środków w zażegnaniu przesilenia, które tak zwany „koncert europejski“ zamieniłoby w szaloną muzykę burzy, mającej w swym piorunowym ogniu skryształizować ideę przekształcenia wschodu. Ostatnim środkiem, wymyślonym jeszcze w gabinetach ministerjalnych, jest projekt załatwienia sprawy turecko-greckiej zapomocą sądu rozjemczego. Wniosek ten, podany odrządu francuskiego, napotyka na trojakie przyjęcie: mocarstwa, które na konferencji berlińskiej wytknęły nową granicę Grecyi, lecz bez sposobu wykonania tej uchwały, traktują go przychylnie, przy najmniej napozór, gdyż spodziewają się znaleźć w nim pożądaną tamę przeciw dalszym powikłaniom i chwilowe chociaż uspokojenie; Turcja, dla której sam fakt ponownego rozpatrywania sprawy znaczy unieważnienie w zasadzie postanowień konferencji berlińskiej, wydaje się dość skłonna do przyjęcia sądu polubownego, wszelako pod pewnymi warunkami; Grecja wreszcie, obstając przy wyznaczonej już granicy, ani słuchać nie chce, ani dotąd, o żadnych ponownych rozstrząsaniach tego, co raz, jej zdaniem, jako nieodwołalne postanowienie zostało. Małe królestwo helenskie zbroi się przytem, otwierając zapowiadając gotowość, nawet dążenie do wojny, w przekonaniu, że gdyby nawet poniosło porażkę, Europa nie będzie mogła na jego upadek pozwolić. Tym sposobem, ponieważ do urzeczywistnienia sądu polubownego niezbędnym jest przyzwolenie obu stron spornych, widoki powodzenia projektu p. Barthelemy są bardzo słabe a katastrofa prawdopodobna.

Wewnętrzne położenie pojedynczych państw europejskich, o ile zwłaszcza dotyczy tak zwanych wielkich mocarstw, również nie wesoły ma wygląd. Najwięcej uderzający objaw—to nadzwyczajne obniżenie poziomu potęgi angielskiej, która znajduje się obecnie w stadium szybkiego podążania, jeśli nie do upadku, to niezaprzeczenie do dawno niebywałego osłabienia. Świeża to przecież rzecz, nikogo niepobudzająca do protestu, że każdy anglik chciał się swoim znaczeniem w świecie. Dumni starożytni: *civis romanus sum*, przyswoili sobie w naszych czasach synowie „królowej mórz“, której potęga, nawet bez milionowej armii, nie podlegała najmniejszemu wątpieniu. W porównaniu z tym stanem dziwnie pobladła teraz gwiazda Albionu. Kolonialna polityka Anglii doznała silnych ciosów przez wojnę afgani- stańską i boje w południowej Afryce, gdzie w ostatnim czasie ogłoszono niepodległą republikę, a sprawa irlandzka podważyła fundamenta organizacji socjalno-politycznej zjednoczonych królestw. Łącznie z tem i wpływ angielski na międzynarodowe sprawy, a w szczególności na kwestję wschodnią, zeszedł prawie do zera. Sesya parlamentu, rozpoczynająca się za tydzień, zapowiada się bardzo burzliwie, a z wielu stron przepowiadają upadek gabinetu Gladstona.

Na stałym lądzie Europy stosunki wewnętrzne państw nie przedstawiają wybitniejszych rysów położenia, z wyjątkiem może Włoch, gdzie prąd republikański zyskuje coraz więcej gruntu. Austria—jeśli porównania tego użyć można—zostaje ciągle w brzemennym stanie, nie mogąc urodzić ustroju samorządnego, pomimo obiecujących zapowiedzi. Akuszerya hr. Taaffego i prawiacy Lzby deputowanych okazuje się w zastosowaniu mało praktyczną; czesi zaczynają już pojedynczo składać mandaty poselskie — a agitacya opozycyjna centralistów urosła ostatniemi czasy do wielkich rozmiarów.

To samo co o Austrii, powiedzieć można o Niemczech, których młodociane cesarstwo bardzo mizernie się chowa w rękę pedagoga z Friedrichsruhe. Po dawnemu zwiększają się tam finansowe ciężary, po dawnemu tłumią się wszelkie usiłowania rozdarcia reakcyjnej opony. Jedyne objaw dodatni—to odpadnięcie pewnej liczby posłów od nacyonalno-liberałów i przybytek kilku mandatów postępowcom, co pozwala wnosić, że przyszłe wybory wydadzą może mniej automatyczny parlament.

Kontrast zupełny z tym ponurym obrazem stanowi rzeczpospolita francuska, umacniająca się ciągle, pomimo wrzenia stronnictw i namiętnych walk radykalistów i reakcyonistów. Po załatwieniu się z kongregacyami, rzeczpospolita podjęła teraz dalszy ciąg prac organicznych, w rzędzie których stoi na porządku dziennym ustawa o powszechnem obowiązkiem nauczaniu. Jedyne to państwo, które równym krokiem rozwija świetny byt materialny i postęp cywilizacyjny. W zagra-nicznej polityce francuskiej odznacza się w tej chwili taktyka równoległego postępowania z Niemcami i Austrią, która ma tę dobrą stronę, że zachowuje Francyi wolną rękę wobec Niemiec na przypadek rozprawy odwetowej, nie ciągnąc kraju w zawikłania, któreby dziedziczny wróg mógł wyzyskać.

Rosya wreszcie, zajęta głównie organizacyą wewnętrzną, zachowuje się w stosunkach między państwowych tylko w roli członka „koncertu“, nie podejmując samodzielnych kroków. W krótkim tym obrazie obecnego położenia, należy się jeszcze wspomnieć o małym państewku, Belgii. W 50 rocznicę wyzwolenia politycznego, dokonała Belgia i wyzwolenia się moralnego z pod przewagi kuryi rzymskiej, inaugurując nową epokę, pełną najpiękniejszej nadziei na przyszłość.

S. S.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

Kronika zawierać będzie luźne i krótkie wiadomości ze wszystkich dziedzin życia społecznego, umysłowego i artystycznego. Nie chcąc zbyt daleko sięgać wstecz i ogarniać faktów, nieobjętych zakresem czasu istnienia *Prawdy*, zapisujemy dziś tylko doniesienia ostatniej chwili.

**Literatura.** Zaczęj działalność księgarnia nakładowa Orzeszkowej i Sp. w Wilnie w dalszym ciągu swego wydawnictwa ogłosiła: W. Przyborowskiego *Wiosnianie u nas i gdzie indziej*, szkice historyczne; E. Orzeszkowej „*Pokociło się*“ i „*dam nogę*“, rozmowa dwu braci; oraz M. Konopnickiej *Fragmenty dramatyczne*. O pracach tych pomówimy szczegółowo.

Klemens kantecki. Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski, ojciec St. Augusta, tom. dwa, Poznań.

Dr. M. Straszewski prof. uniwersytetu w Krakowie wydać niedługo *Historję filozofii* własnego opracowania.

Dr. I. J. Ossowski wykończył pracę o Litwie pruskiej, która ma być drukowana w *Wędrowcu*.

Julian Kolaczowski wydał ciekawą źródłową monografię: *Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce*. Układ dzieła słownikowy.

**Prasa.** Ostatniem z szeregu zapowiedzianych na rok nowy pism jest tygodnik dla „panien“ p. *Wiosna*, wydawany i redagowany przez p. M. Ratyńską, redaktorkę *Nowych Mów Paryskich*. Cena roczna 4 rs. na prowincyi 5.

**Uniwersytet Warszawski.** Egzamina, na mocy których przyznawano studentom stypendya, zostały zniesione. Jednocześnie należałoby jednak pomyśleć o odpowiednim sposobie wyboru zasługujących na wsparcia i spełnianiu woli zapisodawców.

**Sprawy społeczne.** Służebności u nas zostaną wkrótce ostatecznie uregulowane. Nad przedmiotem tym obradują obecnie w Petersburgu wyższe władze Królestwa, które niezadługo przystąpią do czynnego rozplątania powikłanych i uciążliwych stosunków ziemskich.

Mnożące się na prowincyi przestępstwa zwróciły uwagę odnośnych władz na przyczyny bezskuteczności śledztwa pierwiastkowego w sprawach karnych. W tym celu prokurator warszawskiej Izby Sądowej zebrał osobną komisyję, której orzeczenia zakomunikowano ministerium sprawiedliwości. Pomiedzy licznymi środkami, zaproponowanymi przez ową komisyję, zasługuje na podznanie zupełna zmiana policyi sądowo-śledczej, która całkiem ma być niezależna od pozostałej policyi państwowej i której skład rekrutowałby się z ludzi, obeznanych ze śledztwem sądowem. Pewna ilość członków zaproponowała przytem natychmiastową zmianę systemu dochodzenia pierwiastkowego, które zamiast charakteru inkwizycyjnego powinno uzyskać charakter oskarżający, to jest powinno mieć te same rękojmie, co i śledztwo sądowe.

**Archeologia.** P. K. Przyszychowski odkopał w pow. chełmińskim, koło wsi Bałandyny, stary grób, w którym znalazł resztki szkieletu w siedzącej postawie, ławnicę, popielnicę, naszyjnik, szpile i kolczyki. Żadnych jednak wywodów z wykopaliska tego nie robi; przesał tylko rysunek znalezionych przedmiotów *Tygodnikowi Ilustrowanemu* (N. 261).

**Literatura rosyjska.** A. I. Łomaczewskij ogłosił swoje pamiętniki z czasów urzędowania w Wilnie od r. 1839—40 p. t. *Is wspomnianij zamardma*, Petersburg. Jest to książka niezmiernie ciekawa i nas blisko obchodząca.

A. Gradowski. *Trudnyje goły*, Petersburg.

Prof. Iwanukow, *Osnownyja položenia teoryi ekonomieskoj polityki*, Moskwa. Jest to historia teoryi ekonomiczno-politycznych od A. Smitha do dzisiejszych czasów. Praca poważnie naukowa.

A. Smirnow wypuścił w Kazaniu pierwszy tom swej *Istorii anglijskoj etiki*. Nad poważną tą pracą, łącznie z innemi pokrewnej treści, zastanowimy się osobno.

**Sprawy społeczne Galicyi.** Stowarzyszenie lwowskie „Spójnia“ podało do wydziału krajowego prośbę o wyznaczenie komisyi, któraby zbadała stan rzemiosł. Według niej, 50,000 warsztatów rękoźmiennych grozi niechybna ruina.

Spółka tarnopolska utworzyła „komisyję rady i pomocy dla ziemian.“ Zadaniem jej ma być zapobieżenie wywłaszczeniu oraz ochrona interesów właścicieli większych i dzierżawców. Jak wyraźnie rysują się bałtarzowe głoski na ekonomicznym bycie ziemian galicyjskich, przekonywa nie tylko sama potrzeba podobnej komisyi, ale i obowiązek skłaniania obywateli do oszczędności i regulowania ich interesów. Smutnie kreśli obraz Galicyi korespondent *Kłosów*. „Sejm kuleje, wydział krajowy baki strzela, opinia publiczna bije się jak Marek po piekle, literatura książnie, oświata podupada, drogi się psują, a cały kraj cierpi.“

**Sztuka.** Konserwator zabytków starożytnych wschodniej Galicyi, Dzieduszycki wydał odezwę do duchowieństwa, aby bez niego nie dokonywano żadnych odnowień po kościołach i cerkwiach. Znajdują się w nich bowiem bardzo często cenne pomniki historyczne, które nieświadomi rzeczy restauratorowie niszcza i szpecą. Konserwator oznajmia przytem, że będzie dawał zapomogi na wszelkie odświeżenia dopełniane z jego wiedzy.

**Literatura Czeska.** Na konkursie dramatycznym w Pradze czeskiej z 17 nadesłanych sztuk nie nagrodzono ani jednej. Zalecono tylko do grania komedye A. H. Sokola p. t. *Staryolasteneć* (patryota).

**Nekrologia.** Znakomita powieściopisarka angielska Marya Evans, która zastępowała w literaturze pod pseudonimem *George Eliot*, zmarła przed tygodniem. W wychowaniu jej brali niemają udziału osobisty angielscy uczeni, jak Herbert Spencer, John Stuart Mill i Henry Lewes, którego następnie poślubiła. Powieści jej, niejednokrotnie tłumaczone na język polski, są utworami pierwszego rzędu.